„CIEKAWE POWIEŚCI" XXVI

E. Orzeszkowa.

...I pieśń niech zapłacze.

WYDAWNICTWO GEBETHNERA I WOLFFA

Bezpłatny dodatek „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO"

Orzeszkowa ...I pieśń niech zapłacze

...I pieśń niech zapłacze.

CIEKAWE POWIEŚCI

MIESIĘCZNIK, POŚWIĘCONY NAJWYBITNIEJSZYM POWIEŚCIOM I ROMANSOM POLSKIM I OBCYM.

Nr. 2 ▭ Luty 1912

...I pieśń niech zapłacze.

Redaktor: ARTUR OPPMAN (Or-Ot). □ Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF.

ELIZA ORZESZKOWA

...I pieśń niech zapłacze

Z 6-CIU ILUSTRACYAMI
ST. BAGIEŃSKIEGO

WARSZAWA, NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SP. ▭▭▭▭ 1912

DRUK PIOTRA LASKAUERA
WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 41.

„Niech się skarży zielona wierzbina,
Niechaj płacze tam w polu kalina,
I wiatr niech zapłacze!
Niech się skarżą ptaki-tułacze...
. . . .

Niech się skarżą spracowane barki,
Niechaj płaczą tam w polu fujarki,
I pieśń niech zapłacze!

(*Henryk Skirmunt, Poezye*).

I.

Dwóch braci było w jednej rodzinie, a dwie siostry w drugiej. Rodziny przyjaźniły się ze sobą, dzieci znały się i lubiły od lat bardzo wczesnych. Pomiędzy chłopcami w szkolnych mundurkach i dziewczętami w krótkich sukniach zawiązała się przyjaźń, która w miarę upływającego czasu nabierała coraz więcej zaprawy erotyzmu.

Już w latach uniwersyteckich młodzieńców, a pensyonarskich panien, przyszły związek małżeński pomiędzy Jerzym a Krystyną niewątpliwym wydawał się wszystkim, którzy z blizka patrzyli na tę parę młodziutką, mającą charaktery spokojne, marzenia skromne, uczucia więcej głębokie niż gwałtowne.

Daleko trudniej było przewidzieć przyszłość Czesława i Janiny, którzy o pierwszych brzaskach życia poczęli wiele od życia wymagać, marzeniami chodząc po drogach wysokich i tem tylko tę górnowzroczność swą usprawiedliwiając, że w umysłach posiadali zdolności niepospolite, a w charakterach również niepospolitą energię i przedsiębiorczość. Co do strony uczuciowej, ta zdawała się być w nich przygłuszoną przez ogromną ciekawość umysłową i wytężone umysłowe zajęcia; jednak i ona niekiedy wybuchała z gwałtem niespodziewanym i wielkim w postaci żalów, zachwytów, przywiązań lub wstrętów, uszczęśliwienia lub rozpaczy. I to w nich było jeszcze niezwykłem, że nie częste, lecz w zamian gwałtowne wybuchy ich uczuć spowodowane bywały nietylko przez zjawiska świata dotykalnego, nietylko przez zdarzenia, w ich osobistem życiu zachodzące, lecz również, a może i częściej jeszcze, przez te, które istnieją lub zachodzą w niewidzialnej sferze myśli, idei, rzeczy wogóle bezosobistych, niejako napowietrznych, niejako obejmujących ziemię atmosferą duchową. Były to natury ambitne, namiętne i zarazem lotne, w sferze abstrakcyi przebywać umiejące, jakich to natur przeznaczeniem najczęstszem bywają szczyty wysokie i niedole wielkie. I ta tylko pomiędzy nimi, od lat prawie dziecięcych, zachodziła różnica, że Janina była od Czesława cichszą, tkliwszą, litościwszą i daleko więcej skłonną do zapominania o sobie na rzecz innych.

Obaj bracia, na wsi urodzeni i na wsi przepędzający czasy szkolnych i uniwersyteckich wakacyi, posiadali w sobie zdolność do ukochania natury stron rodzinnych, lecz każdy z nich ukochał ją na sposób inny. Czesław

szukał i znajdował w niej dla siebie źródło chwilowych odpoczynków i rozkoszy, od wszelkich zresztą upodobań i marzeń sielskich oddalony nieskończenie; dla Jerzego zaś była ona przedmiotem spostrzeżeń najulubieńszym i tłem, na którem najchętniej rozwijał plany przyszłej swej pracy i wogóle swej przyszłości. Bo w upodobaniach skromny, ciszę nad gwar i samotność nad zgiełk przekładający, z sumieniem przebudzonem wcześnie, Jerzy nie lubił miast wielkich, uciech, których dostarczać mogą, nie pragnął, a w nurtujących je żądzach, współubieganiach się, namiętnościach, dostrzegał pierwiastki bólów, krzywd, nadewszystko upadków ludzkich, na które szczególnie był tkliwy. Cichy, skromny, niewiele o sobie rozumiejący, miał przecież głębokie i silne poczucie godności i obowiązków człowieka. Jak gronostaj, nie znosił na sobie plam; dusza jego, jak liść czułkowatej rośliny, dotknięty szorstką ręką, zwijała się boleśnie, ilekroć dotknął ją widok ludzkich błędów i przemocy z jednej strony, a krzywd i cierpień z innej.

Więc też w chwili, gdy o przyszłości rozstrzygać mu przyszło, wybrał sobie skromny, lecz ściśle z naturą związany zawód leśnika i po kilku latach odpowiednich studyów naukowych rychło pole do pracy znalazł w wielkich i własnością wielkopańską będących lasach. Pole to było tak szerokie, jak ogromna przestrzeń, którą okrywał jeden z najwspanialszych tworów natury, i jak długi przeciąg czasu, w którym twór ten pozostawiony był samemu sobie, bez umiejętnej pieczy nad jego bogactwem i pięknością. Praca to była duża, często mozolna, a wynagradzana skromnie i nie obiecująca w przyszłości żadnych obfitych zdobyczy, lecz bogactwa i zaszczytów Je-

rzy nie pożądał i puszczać się po nie w strony dalekie nie chciał. Miał dla swej ziemi rodzinnej coś z przywiązania synowskiego i coś z tkliwości kochanka, pragnął drobną jej część przynajmniej w ręku swych piastować i pomyślności jej czy wzrostowi służyć. Takiemi były pobudki, które osiedliły go w niedużym, choć znowu i niezbyt małym domu leśnym, stojącym zdala od miast wielkich i od tych dróg dalekich, które człowieka prowadzić mogą do pewnego rodzaju wielkości.

Wkrótce potem nie był już w domu tym sam jeden: zamieszkała w nim także, jako żona jego, mała, zgrabna, jasnowłosa, różowa, wesoła i wiecznie czynna Krysia. Niedawno śmierć zabrała jej ojca i Jerzy, tak jak nad kawałkiem ziemi rodzinnej, zapragnął roztoczyć opiekę nad ukochaną kobietą, myśli o rozłączeniu się z tą, tak jak z tamtą, znieść ani nawet przypuścić nie mogąc.

Nic więc w człowieku tym nie było osobliwego, olśniewającego, nic z tego, co wyobraźnię zaciekawia lub zachwyca, i jeżeli cośkolwiek zbawić go mogło od zarzutu pospolitości, czynionego zazwyczaj ludziom skromnym, czystym, uczciwym i pracowitym, była to chyba głębokość jego uczuć, czystość pożądań, odraza do zdobyczy nieuczciwych, oraz gatunek pracy, w której, obok biegłości fachowca, mieścił się rzut oka na naturę kochanka i artysty.

Inaczej wcale stało się z Czesławem, dla którego wszystko w świecie wiedzy i pojęć było z łatwością dostępnem, a w świecie rozkoszy i chluby namiętnie pożądanem. Namiętnie pożądał on wszelkich bogactw świata, od tych, które polegają na zdobyczach nauki, na

wzruszeniach, sprawianych przez sztukę, na tworzeniu dzieł wysokiej myśli, aż do tych, w których taje i płonie z upojenia i rozkoszy zmysłowa natura człowieka.

Niezwykłą urodą męską obdarzony, wymowny, płonący tajemniczym ogniem tysiąca żądz, tysiąca myśli i tysiąca wciąż rozedrganych strun wrażliwości, wcześnie zachwycać, podbijać zaczął szerokie koła towarzyskie i liczne niewieście serca. Wcześnie stawać się zaczął ulubieńcem wszystkich, którzy go znali z blizka, i przedmiotem najpiękniejszych ich nadziei. Nikt nie wątpił, że czeka go przyszłość wielka, co znakomicie wspierało własną jego w nią wiarę. Zarówno w dziedzinie nauki, jak w dziedzinie szczęścia, hasłem jego zdawało się być: posiąść wszystko! Niepodobna byłoby nikomu przewyższyć go w zapale i wytrzymałości, z któremi oddawał się pracy naukowej. Nie jedną dziedzinę wiedzy usiłował brać we władanie swe, ale i te również, z któremi tamtą łączyło sąsiedztwo lub pokrewieństwo, a że nauki wszystkie prawie są sobie pokrewne i blizkie, więc jedną, z łatwością niepospolicie zdolnego umysłu, podbijając, ciekawą myślą przebiegał w kierunkach różnych szerokie niwy innych. Wchłaniał w siebie najpotężniejsze z tchnień i najwybitniejsze z widoków całej krainy ludzkiego umysłu i może z tej przyczyny, jak również i dlatego, że w naturze swej miał więcej wrażliwości, niż hartu, i więcej namiętnych popędów, aniżeli silnej woli, jego wiary i niewiary, jego tak zwane zasady i przekonania, posiadały nietrwałość gmachu, zbudowanego ozdobnie, lecz którego ściany kruszą się pod uderzeniami wichrów, przylatujących ze wszystkich stron świata.

W gmach pojęć Czesława uderzały, oprócz zewnętrz-

nych, wichry podnoszące się z własnej jego duszy, która była podobna harfie, mającej złote, lecz w zgodny akord niezharmonizowane, struny.

Najsłabszą stała się wkrótce struna uczuciowa.

Przez prace umysłowe, przez myśl o samym sobie, o swych prawach, żądaniach, nadziejach pochłonięty, z radością rzucający się we wcześnie przed nim otwarty świat blasku i użycia, mało miał czasu i chęci do spostrzegania ludzkich losów i cierpień, do uczuwania względem ludzi i ich czynów trwałych pociągów lub odraz. Tyle energii zużywał na polach tamtych, że na to, z którego wyrastają miłość i litość, przywiązanie i współczucie, cześć i potępienie, mógł jej przynosić niewiele. Ci, którzy jeszcze niedawno byli świadkami gwałtownych czasem uniesień jego natury uczuciowej, zdumiewali się teraz na widok zobojętnienia, które okazywał budzącym je niegdyś ludziom i rzeczom. Dla wszystkich zresztą stało się wkrótce pewnością, że o ile brat młodszy w postępkach i postanowieniach swych przeważnie rządził się uczuciem, o tyle nad starszym rządy coraz wyłączniejsze obejmował rozum. Wielu cieszyło się szczerze z takiego skierowywania się młodzieńca, powszechnie lubionego, i uciecha ta byłaby słuszną, gdyby nad rozumem nie brał czasem przewagi samolubny, praktyczny rozsądek i gdyby nie wyrastały z niego niekiedy pewne zgniłe owoce, znane pod imieniem sofizmatów.

Jakkolwiek bądź, Czesław, w miarę wzrastania w wiedzę, w powodzenie wśród ludzi, w myśl o własnej przyszłości i tych świetnościach różnorodnych, które ją pozłocić i wybrylantować miały, obojętniał dla rodziny, dla wszystkiego, co rodzinne, i dla dziewczyny, o której

wszyscy niedawno myśleli, że jest mu drogą, że jest nawet wybraną, przyszłą towarzyszką jego życia.

Ona, Janina, małomówna i skromna, tak samo przytem jak Czesław, pracę umysłową lubiąca, zdolna do niej i nią zajęta, zdawała się tego zobojętnienia dla niej przyjaciela lat dziecięcych i młodzieńczych nie spostrzegać lub o nie się nie troszczyć. Że jednak spostrzegła i troszczyła się, zdradzały to jej coraz częstsze, smutne zamyślenia i długie, uważne spojrzenia, które zatapiała w jego twarzy, ilekroć on tego widzieć, ani spostrzegać nie mógł. Zdawać się wtedy mogło, że oczy tej dziewiętnastoletniej dziewczyny nie miały siły oderwać się od rysów tego o lat kilka starszego od niej młodzieńca i że serce jej pragnęło oczyma dotrzeć do głębi jego serca.

Zresztą, ku niemu również wracały niekiedy dawne pociągi i wzruszenia. Zbliżał się wtedy do Janiny, i zdarzały się pomiędzy nimi momenty, podobne do motyli, muskających lekkiemi skrzydły wpółrozwinięte kwiaty. Lecz były to tylko momenty, i po ich przejściu nie rozwierały koron swych na słońce radości wpółrozwinięte uczucia. Jej dziewicza skromność i duma, jego powściągliwość oględna i wewnętrzny uśmiech lekceważenia dla wszystkiego, co było sentymentem i nierozważnem puszczaniem się na rzekę czułości, powstrzymywały na ustach obojga słowa wyraźne i szczere, gasiły iskrę natychmiast, gdy zagroziła rozpaleniem się w płomień.

I stało się, że dnia pewnego Czesław uwiadomił swych blizkich o wkrótce nastąpić mającym wyjeździe swym w okolice gór Uralskich, kędy niezwykłe zdolności jego i zręczność, z jaką stosunki wśród ludzi wpływowych

zawiązać potrafił, wyjednały mu stanowisko nadspodziewanie wysokie i w rozmaite korzyści bogate. Otworzyły się przed nim wrota karyery świetnej, dla ludzi rodu jego bardzo rzadko dostępnej; wstępuje więc w nie bez wahania i namysłu.

Nikt postanowienia tego odmienić nie próbował, bo jedni byli olśnieni i cieszyli się, a drudzy przekonani byli o nadaremności wszelkich w tym kierunku usiłowań. Ludzi widok rzeczy błyszczącej często olśniewa w ten sposób, że stają się ślepymi na wszystko, co nią nie jest, i cieszą się ogromnie. Potem, przychodzi moment, że ślepota ich przemija, i wtedy znowu, biedacy! ogromnie się martwią.

Jerzego świetny los brata nie olśnił, ale po krótkich próbach zaprzestał odwracać go od drogi wybranej, bo zrozumiał dobrze, jak słabą wobec siły namiętności musi być siła najwymowniejszego choćby słowa. Czesław zaś łudził się, myśląc, że postępuje za wskazaniami rozumu; w świat szeroki gnały go namiętności, przeciw którym Jerzy czuł się bezsilnym, i tylko w jakiejś przedostatniej chwili nie mógł tego przenieść na sobie, aby kilku słowy nie wspomnieć bratu o Janinie. Wtedy piękne oczy Czesława zamigotały niespokojnie, lecz wnet niepokój ten zastąpiła wesołość żartobliwa.

— Panna Janina! Cóż? Śliczna to osóbka, dla której od dzieciństwa prawie miał sympatyę i na zawsze zachowa przyjaźń. Ale rzeczy tego rzędu, co sympatya, przyjaźń etc., człowieka z jasnym poglądem na świat i życie do niczego zobowiązywać nie mogą. Tak zaraz, u samego początku drogi krępować się więzami, byłoby szaleństwem, w które człowiekowi rozumnemu popaść niepo-



Jerzego świetny los brata nie olśnił.

dobna. On, Czesław, wie dobrze, czego chce, do czego dąży; nie wstępuje w życie, jak ślepiec, dający się prowadzić lada podanej ręce. Trzyma przed sobą dobrze narysowany plan swej przyszłości, od linii jego nie odrywa oczu i widzi jasno, że dla marzeń, dla przesądów nierozsądnych miejsca w nim niema. Musi on, a nawet powinien wyzyskać dla swej indywidualności wszystkie siły, któremi obdarzyła go natura, i wszystkie pomyślne wypadki, które, daleko więcej niż losowi, zawdzięcza własnemu rozumowi swemu i własnej zręczności. Dlatego właśnie wypadki te znalazły się na jego drodze, że uwolnił się od przesądów, mocno w społeczeństwie jego zakorzenionych. Przesądem jest, że człowiek przez miłość dla ziemi, czy dla kobiety, czy dla jakiejś grupy ludzi, wyrzekać się powinien doprowadzenia swego indywidualnego wzrostu do miary możliwie najwyższej i zdobywania w mierze najwyższej tego, w czem upatruje swoje szczęście. Uszczęśliwianie siebie jest uszczęśliwianiem jednego z członków ludzkości; gdyby wszyscy na ziemi ludzie umieli uszczęśliwiać samych siebie, cała ludzkość byłaby szczęśliwą. Jego zaś szczęście nie może być drobną gwiazdką, która smutnie i drżąco świeci nad skrawkiem ziemi, powleczonej szarzyzną i zmrokiem. Jego szczęście musi być tarczą słoneczną, gorejącą nad przestrzeniami szerokiemi, przyświecającą gmachom wysokim i potężnym.

Jego praca, mająca być głównym składnikiem jego szczęścia, nie może chadzać wązkimi szlakami ścieżyn i trzeba jej dróg szerokich, dalekich, bijących zdrojami myśli, bogatych w różnorodną radość życia, z której myśl pije swą trwałość, swą moc, swój rozpęd wszerz i w górę. Tu wzrastać mogą gatunki nadziei tylko nikłe i bla-

de, jego zaś nadzieje wzrostem i płomiennością dorównywają wzrostowi jego uzdolnień i płomienności jego potrzeb, duchowych zarówno jak fizycznych. Bo na żadną część swojej istoty, swojej odrębnej od innych indywidualności, na żadną część fizycznej zarówno jak duchowej swej natury nie chce i nie zamierza on nakładać sztucznych hamulców i tłumików, ale, przeciwnie, chce i zamierza dać im wszystkim pełny bieg, pełny rozwój, pełne zadośćuczynienie, aby wszystkie razem, zadowolone, wyćwiczone, doświadczone, zharmonizowane, wytworzyły z niego typ, czy wzór, w pełni rozwiniętego, silnego i szczęśliwego człowieka.

Kędyż w takim planie życia mogłoby znaleźć się miejsce dla tak uroczej, lecz zwykłej istotki, jaką jest panna Janina, i jakąż czynność spełniaćby ona mogła we wznoszeniu budowy życia, tak wysokiej i skomplikowanej? Nie przeczy temu, że rozłącza się z nią z niejakim żalem i że pozostanie w nim wspomnienie o niej na zawsze przyjazne, a przez czas jakiś może nawet nieco tęskne, ale trudno! Człowiek, zdążający drogą pełną przeszkód do celu dalekiego i mający silne postanowienie stanięcia u celu, nie może oglądać się za wyrastającym u brzegu drogi kwiatem, ani czasu tracić na jego zrywanie, ani zajmować sobie dłoni jego niesieniem... Nakoniec, pewien jest, bo z własnych ust jej nieraz słyszał, że panna Janina nie podziela wszystkich przekonań jego i na wszystkie jego dążności nie przystaje. Czy Jerzy zaprzeczyć temu może?

Jerzy nie mógł temu zaprzeczyć. Owszem, posiadał również pewność, że w tej młodej dziewczynie wytwarzał się i już się nawet wytworzył pogląd na świat i życie,

na wielu punktach niepodobny do tego, którym kierował się i kierować się zawsze postanowił Czesław.

— Widzisz więc, Jurku, że byłby to, zamiast harmonii, zgrzyt!

I tem zakończeniem rozmowy zabawiony, na nutę żartobliwą wyśpiewał:

Idźmy każdy w swoją drogę,
Ja cię wiecznie będę... wspominać,
Ale twoim... być nie mogę.

Wesoła twarz jego, z błyszczącemi oczyma i śmiejącemi się usty, stanowiła sprzeczność z tą ciężką chmurą, która spadła na czoło i oczy Jerzego. Niepokój o brata spłynął mu na dno serca i uczynił je bardzo ciężkiem.

Zajęty swoim planem, swoją budową, swoją drogą, swemi przygotowaniami i obrachowaniami, Czesław pożegnał się z Janiną i z krewnymi po przyjacielsku, lecz na prędce i raz już tylko, gdy żegnał się z bratem, objawiły się w nim uczucia dawne, — przynajmniej objawić się im pozwolił. Ta chwila pożegnania, przepojona gorącem wzruszeniem obustronnem, głęboko zapadła w serce i pamięć Jerzego. Pomimo podstawowych różnic, zachodzących w ich poglądach i charakterach, bracia kochali się bardzo.

Co myślała i czuła Janina po odjeździe Czesława i zupełnem, jak się zdawało, z nim rozstaniu, nikt zrazu napewno nie wiedział. W rzeczach serca dziewczyna była, jak mimoza; nie można było ich dotykać bez zadawania bólu. Jednak skrytość jej była tylko wstydliwością, towa-

rzyszącą naturom wytwornym i z samego już instynktu wysoce moralnym. Ustąpiła też raz przed zaufaniem i może wezbranym żalem. Janina przyszła raz do świeżo zamężnej siostry i po chwili spokojnej rozmowy, z nagle wybuchającym płaczem rzuciła się jej na szyję. Krysia przyczynę płaczu tego odgadła, lecz nic o niej nie mówiąc, przycisnęła tylko siostrę do swego szczęśliwego serca i nieśmiało zapytała:

— Cóż teraz będzie? Co uczyni? Czem się zajmie? W czem znajdzie wsparcie i pociechę? Bo przecież wiecznie tak smucić się, smutkiem zachmurzać młodość i zatruwać siły...

Janina wyprostowała się, szybko stłumiła łkanie i łzy otarła z oczu.

— Cóż? To prawda! Mam młodość i siły, mam miłość dla nauki i litość dla ludzi...

— Litość! — z niejakiem zdziwieniem powtórzyła Krysia.

Tak, Janina od czasu pewnego zaczęła gorąco, głęboko litować się nad ludźmi.

— Tyle najrozmaitszych cierpień i nieszczęść... a przytem tacy słabi i mali...

Po krótkiej chwili dodała:

— Najczęściej wtedy słabi i mali, gdy się im zdaje, że są bardzo silni i wielcy...

Cichutko, przy samem uchu siostry Krysia szepnęła:

— Czy, mówiąc to, myślisz o Czesławie?

Janina potakująco skinęła głową i znowu z pod rzęs jej spłynęły sznury łez. Ale znowu i z wielką siłą płacz powściągnęła.

— To tylko raz... ten raz jeden, przed tobą, Krysiu. Co pocznę? czem się pocieszę? Służyć będę ludzkim cierpieniom i nieszczęściom...

Spłakane oczy jej błysnęły, jak szafiry w słonecznem świetle, po ustach różowych przewinął się uśmiech dobrej nadziei.

— Ale wpierw, przedewszystkiem, trzeba mi nauczyć się służyć...

Wkrótce potem wyjawiła swym blizkim chęć i zamiar udania się na jedną z zagranicznych wszechnic dla odbycia tam studyów naukowych. Nikt temu przeszkód żadnych nie stawił; przeciwnie, zdolności jej umysłowe zdawały się wszystkim wystarczającemi do osiągnięcia celu tak już często przez kobiety osiąganego, że zadziwiać i do oporów skłaniać przestał.

Janina z wielką prostotą rzekła:

— Chętnie zostałabym siostrą miłosierdzia, ale ponieważ nauka zaciekawia mię i pociąga, zostanę lekarką.

Od wyjazdu Czesława w strony zauralskie upłynęło lat prawie dziesięć i tyleż od zamieszkania w leśnym domu Krystyny i Jerzego. Spotkali oni oboje na tej sporej już przestrzeni czasu niemało trosk i trudów, lecz ani razu nie zaszło im drogi nieszczęście. Pogodę serc ich, stałą pomimo trosk i trudów, przyćmiewała jedna tylko chmura. Czesław, który pisywał do brata zrazu często, potem rzadziej, od lat kilku pisywać przestał. Nie pomogły ze strony Jerzego i Krystyny zapytania, wyrzuty, naglące prośby; żadna wieść bezpośrednia z owych stron dalekich od tego człowieka blizkiego nie przybywała, a strony były tak dalekie, że żadnej wieści pośredniej

znikąd i od nikogo powziąć było niepodobna. Jakby w wodę wpadł! Jakby umarł!

Ale nie umarł. W latach ostatnich szeroko po świecie rozeszła się sława naukowego dzieła jego, które znawcy za znakomite ogłosili.

Jerzy z jednej ze swych rzadkich wycieczek w świat przywiózł to dzieło i po chciwem przeczytaniu miał przez dni kilka ciężką chmurę na czole i w oczach. Było ono mądre i świetne, uczone i oryginalne, ale... tak wielka różnica w przekonanich, w dążnościach, w mowie, panującej na ustach jednego z braci i pod piórem drugiego...

Od lat kilku tedy przestrzeń ich dzielącą zaległo milczenie nieprzerwane i sporo czasu przeminęło, odkąd Jerzy powiedział sobie, że nie ma brata. Bo taka różnica... i takie zapomnienia równają się śmierci. Jednak myślał o nim często. Zabraniał sobie myśleć i myślał znowu, nie chciał żałować i żałował, zapominał, a wspomnienie biegło za nim i niespodziewanie chwytało go za serce... Taką już jest natura związków rodzinnych i takiem było serce Jerzego.

Cicho, w pogodny wieczór czerwcowy, stał dom leśny, z gankiem, opiętym gęstwiną rozkwitłych nasturcyi i powojów, z oknami otwartemi na zieloność lasu. W oknach i pod oknami było mnóstwo kwiatów, których zapachy łączyły się w powietrzu z dogasającą wonią żywicy i nadlatującą z lasu świeżością rośnego wieczoru.

W jednem z okien, nad kwiatami, wśród białych firanek, wypukle od ciemnego tła wnętrza odrzynała się głowa starej kobiety, z siwymi włosy, z delikatną, uwiędłą twarzą i oczyma spuszczonemi na karty otwartej książki. Na twarzy tej uwiędłej i cierpiącej rozlewała się jednak słodycz dogasającego w zadowoleniu serca.

Na ganek wyszła Krysia i zaraz spotkała się z mężem, który nadchodził szeroką drogą, przerzynającą las w pobliżu domu. Powitali się przyjacielskiem uściśnieniem dłoni.

Krysia była wesołą, Jerzy wydawał się zmęczonym, ale pogodnym. Zapytał, czy dzieci są w domu. Odpowiedziała, że z Janką poszły do lasu, aby uzbierać storczyków, tych białych, pachnących, które to przed kilku dniami rozkwitły.

— Janka przepada za kwiatami, więcej jeszcze ode mnie, a dzieci ją naśladują... małe małpeczki!

Zaśmieli się oboje.

— Zdaje się, że Jance dobrze jest u nas...

— Oddawna nie widziałem jej tak wesołą. Co za wspaniały pomysł mieli ci jej koledzy, przysyłając ją tu dla wypoczynku i wzmocnienia się na zdrowiu. Codziennie przybywa jej sił, świeżości...

— Cieszy mię to niewypowiedzianie. Wszakże to siostra twoja, Krysiu, i doprawdy bardzo miły jest ten doktorek nasz w różowej sukience.

Znowu zaśmieli się wesoło.

Na ganek weszła niemłoda służąca, wysoka, barczysta, z twarzą szeroką, płaską, dobroduszną, trochę też pomarszczoną i z tak powolnymi, że prawie majestatycznymi ruchami, poczęła stół do wieczerzy nakrywać.

— Nie widziałaś, Dębsiu, co robi matusia?

— Siedzi w swoim pokoju przy oknie i książkę czyta. Już mówiłam, że o zachodzie słońca nie trzeba czytać, bo oczy od tego bolą... ale nie, czyta.

— Nieposłuszna! — żartował Jerzy.

Dębsia, powoli wyraz po wyrazie wymawiając, odcięła się jednak:

— I pan, dzieckiem jeszcze będąc, nieraz mnie słuchał i wychodził na tem dobrze.

Krysia podskoczyła i, gęste pnącze pomiędzy słupami ganku nieco rozchylając, zapytała:

— Czy matusia przyjdzie do nas na wieczerzę, czy zanieść ją do pokoju?

Z za pnączów doszedł głos słaby i łagodny:

— Do pokoju, moje dziecko; lękam się wilgoci wieczornej.

— Dobrze, zaraz przyniosę.

— Nie, nie — sprzeciwił się głos. — Janka niech przyniesie, tak dawno już jej nie widziałam.

Krysia uśmiechnęła się do męża.

— Niema jeszcze dwu godzin, jak Janka odeszła i — już dawno.

— Cóż? Przywykły do siebie, ciągle są z sobą i przytem — faworytka.

— Słusznie — dodała Krysia i powiedziała Dębsi, że z podaniem wieczerzy trzeba na powrót z lasu Janki i dzieci zaczekać.

Potem usiadła na ławce obok męża i oparła na jego ramieniu swą złotą i różową głowę. Nie mówili już nic. Piękny wieczór nawiewał do oczu ich zadumę, na usta milczenie.

Dokoła domu, z blizka, z daleka, ze stron wszystkich las, przez zachodzące słońce pozłocony i zaróżowiony. W lesie rozlegał się szczebiot ptaków, pełen tych pieszczotliwych tonów, z jakimi po gniazdach dzieci układają się do snu nocnego. Na gospodarskiem obejściu domu,

z za drzew niewidzialnem, porykiwały krowy, zabeczały owce i umilkły. Kogut po raz ostatni w dniu tym zapiał i umilkł. Kędyś w lesie ktoś przeciągle huknął, ktoś na kogoś przeciągle zawołał i echo tuż za domem huknęło, zawołało.

— To Janka zwołuje dzieci. Już wracają... — szepnęła Krysia.

Wązki rąbek tarczy słonecznej zniknął za lasem i w głębiach lasu, błąkać się poczęły rubinowe łuny. Dom z gankiem, pełnym kwitnących pnączów i siedzącą na nim w milczeniu parą ludzi, wydawał się obrazem sielanki, pełnej wdzięku. Zdawać się mogło, że aniołowie niewidzialni rozpinają nad nim błogosławiące skrzydła spokoju i poezyi.

Wtem w dalekiej dali leśnej coś jęknęło, umilkło i zajęczało znowu ostro, przeciągle, raz, drugi, trzeci.

Jerzy począł słuchać. Znał dobrze wszystkie głosy lasu, lecz tego nie rozpoznawał. W taki sposób nie odzywają się drzewa, ani ptaki, ani zwierzęta.

— Co to? — zapytała Krysia.

Wtedy właśnie to coś nierozpoznawanego poczęło stawać się nieustannem i coraz bliższem, jęczało żałośnie, wydawało dźwięki metaliczne, przewlekłe, to krótkie, zdawało się wyrzekać, płakać, przywoływać.

Coś z dalekiej przestrzeni przybywało, coś drogą leśną coraz prędzej biegło ku sielance, zatopionej w ciszy, w drzewach, w kwiatach, w woniach leśnych, w słodkim spokoju.

Jerzy podniósł głowę i rzekł:

— To dzwonek pocztowy!

II.

Młodzieńczym ruchem wyskoczył z bryczki pocztowej wysoki, barczysty mężczyzna i w pośpiechu płaszcz podróżny na bryczkę z ramion opuściwszy, stanął pod rozkwitłemi nasturcyami, wahający się, zmieszany. Jerzy na spotkanie gościa postąpił kilka kroków, jakby oczom własnym nie wierząc, stanął, zawołał: Czesław! i rzucił się na szyję przybyłemu, do którego jednocześnie Krysia wyciągała z powitaniem obie ręce.

Przez minut kilka krzyżowały się na ganku zapytania i odpowiedzi krótkie, śpieszne, nic prawie nie mówiące, bo wychodzące z piersi dyszących ciężko od wzruszeń różnorodnych. Dziwnie mieszały się w tych wzruszeniach radość z bólem, z tem zmieszaniem bolesnem, którego doświadczają ludzie niegdyś bardzo sobie blizcy, a oddawna nie wiedzący już wzajem o sobie nic.

Czesław wpatrywał się w brata.

— Zmieniłeś się trochę i... nie zmieniłeś się wcale. Na twarzy zmieniłeś się... trochę... cóż? Czas długi... ale... O Boże! żaden najdłuższy opis nie mógłby tyle powiedzieć, żeś zawsze ten sam, ten sam... jak ten wykrzyk serdecz-

ny, którym mię powitałeś. A jednak... miałbyś prawo... miałbyś prawo...

Jerzy, biorąc rękę jego w swoją, śpiesznie przerwał:

— Mam prawo kochać cię i cieszyć się... że nakoniec cię zobaczyłem.

Byli w tej chwili sami. Krystyna wbiegła do wnętrza domu.

— Przebaczasz! — rzekł Czesław — wspaniałomyślnie i po chrześcijańsku przebaczasz tyloletnie milczenie moje i wszystkie i t. d. Przebaczenie, to, mój drogi, ziarnko pieprzu, owinięte w słodki listek dobroci... Byłeś i jesteś zawsze dobry... szło ci zawsze o to przedewszystkiem, aby być dobrym... Może i miałeś słuszność... Trudno wiedzieć, kto na tym świecie ma słuszność, a kto jej nie ma... Co do mnie, wdzięczny ci jestem za to powitanie prawdziwie braterskie i za... to przebaczenie, ale rzecz dziwna, sam temu dziwię się... radości takiej, jakiej spodziewałem się od tej chwili, nie czuję... Nie jechałem, lecz leciałem tu po tę radość... myśląc, że wniebowziętym będę, stając na progu twego domu... Tymczasem teraz czuję, zdaje mi się, że kto wie, może, może nie powinienem był tu przyjeżdżać?...

Czoło i oczy Jerzego okryła ta charakterysteczna u niego chmura, która polegała na zbiegnięciu się brwi nad opadłemi w dół powiekami. Z cicha rzekł:

— W słowach twoich, Czesławie, jest dużo goryczy, ale to przejdzie... miejmy nadzieję, że przejdzie, a tymczasem z przyjaźnią i błogosławieństwem bądź powitany nietylko przeze mnie, ale i przez tę ziemię, do której powracasz...

— Powracam! — powtórzył Czesław. — Nie, nie

powracam. Rzadko kiedy człowiek może powrócić. Ale to prawda, przybyłem w odwiedziny nietylko do ciebie, lecz i do niej także. To prawda.

Wstał i z brzegu ganku zaczął po otoczeniu domu się rozglądać.

Męskiej urodzie jego czas nic nie ujął, chociaż odmienił ją nieco. Kiedy odjeżdżał, był szczupłym, wysmukłym młodzieńcem. Teraz kształty jego, nie utraciwszy nic ze swej harmonii, nabrały dojrzałości i powagi. Znajdował się w pełnym rozkwicie męskiego wieku i posiadał w pełni właściwą mu siłę, lecz świeżość młodzieńczą utracił. Zachowane bogactwo włosów sprzeczało się z czołem nieco zmiętem i wyrazem oczu niespokojnym pod zmęczonemi powiekami. Wyglądało to na ślady pracy wytężonej i zmartwień tajemnych. W postawie, w twarzy, w ruchach, miał wiele pewności siebie, rozumu i siły, lecz pogody i spokoju w nich nie było.

U brzegu lasu dał się słyszeć coraz wyraźniejszy gwar głosów dziecięcych i wkrótce z punktu już bardzo niedalekiego doleciał kobiecy wesoły wykrzyk:

— Kto prędzej do domu dobiegnie? kto prędzej?

Kędyś za drzewami rozpoczął się wyścig snać zawzięty, bo towarzyszyły mu śmiechy i wesołe krzyki dzieci, aż po kilku minutach ukazała się gromadka, z gęstwin leśnych wybiegająca i zdążająca ku domowi. Biegła po gładkiem i rośnem podścielisku kawałka lasu, z którego wzbijały się rzadko rozstawione kolumny sosen. Mniemaćby można, że pomiędzy kolumnami biegły krzaki paproci i białych storczyków, tak wielkie pęki roślin tych niosło każde z biegnących dzieci, a na czele gromadki, z takimże rozkwieconym pękiem w ręku biegła dorosła

kobieta w różowej sukni, która o kilka kroków od ganku zdyszanym głosem zawołała:

— La reine est morte, vive le roi! Przekwitła konwalia, rozkwitł storczyk! Oto... żniwo!

Ostatnie słowa wymówiła głosem podciętym, bo spostrzegła stojącego obok Krystyny mężczyznę.

— Janko, czy nie poznajesz?

Poznali się nawzajem i byli tak zdumieni, że na chwilę oniemieli.

— Pan... tu?

Z głębokim ukłonem dotknął ustami jej ręki.

— Góra z górą...

Nie dokończył. Podnosząc głowę, spotkał się oczyma ze spojrzeniem dwojga oczu szafirowych, szeroko otwartych, rozbłysłych i pomyślał: Gwiazdy!

— Nie spodziewałem się panią tu znaleźć...

— Ani ja pana zobaczyć...

Słowa były zwyczajne, lecz głosy więzły w gardłach. Janina machinalnym ruchem poprawiała sobie włosy, ale poprawić się nie dawały, złotymi pasmami wciąż opadając dokoła policzków, których doskonały owal i przezroczystą białość powlekły blade rumieńce.

Dębsia zwykłym sobie majestatycznym krokiem weszła na ganek i, postawiwszy na stole wieczerzę, witała gościa z szerokimi uśmiechami na dobrodusznej twarzy.

Zasiadając do wieczerzy, Krysia szepnęła coś siostrze, która natychmiast śpiesznie weszła do domu.

— Poszła do matki naszej, która po kilku godzinach niewidzenia jej niepokoi się i tęskni.

Więc i matka tu jest! Prawda! Czesław pamięta doskonale tę miłą, dobrą kobietę, którą niegdyś sam wraz

z jej córkami nazywał matusią. Lubiła i pieściła dwóch małych, a potem dorastających chłopców, którzy wcześnie stracili matkę. Jednak to gromadne życie rodzinne, które tu znalazł, obudziło w nim uczucie głuchego podrażnienia. Coś się w nim uśmiechnęło ironicznie.

— Więc państwo wszyscy tu ciągle razem...

Jerzy wtrącił:

— Gdy mówisz do nas, Czesiu, opuszczaj tytuły.

— Przyzwyczajenie! — odrzucił Czesław.

Krysia mówić zaczęła, że nie, nie mieszkają ciągle razem. Matka i siostra jej przebywają stale w Warszawie, a tylko w porze letniej odwiedzają ich co rok na kilka tygodni. W tym roku przyjechały na kilka miesięcy z powodu choroby Janki. Właściwie nie jest to choroba, tylko przepracowanie i wyczerpanie nerwowe, dla którego kilkomiesięczny pobyt na wsi...

— Przepracowanie! — z akcentem zdziwienia powtórzył Czesław. — Pani nazywa tak chyba rauty, wizyty, teatry i tym podobne trudy, wśród których panie...

— Naprzód — żywo przerwała Krysia — nie jestem dla ciebie, Czesławie, panią, tylko żoną twego brata i przyjaciółką twą od dzieciństwa, Krysią... A potem: rauty, wizyty, teatry... gdzież tam!... Janka od lat czterech jest lekarzem, czy lekarką... doktorem, czy doktorką? o Boże, sama nie wiem, jak powiedzieć, bo to jeszcze nie ustalone... jedni są za rodzajem męskim, drudzy za żeńskim... Jurku! jak trzeba w takich razach mówić: doktor, czy doktorka?

Śmiała się zwykłym sobie śmiechem srebrnym, serdecznym i, nie czekając odpowiedzi męża, opowiadała dalej, że Janka, po otrzymaniu wszystkich potrzebnych dy-

plomów, osiedliła się w Warszawie, nie dlatego, aby sama przepadała za życiem w wielkiem mieście, ale dlatego, że matusia do niego przywykła i bez wielkiej przykrości opuścić-by go nie mogła... Ma tam matusia biedna swoich przyjaciół starych, swoje wspomnienia... Słaba już jest od pewnego czasu, dolegliwościami różnemi dotknięta i prawdziwe to szczęście, że Janka może w ulubionem jej mieście otoczyć ją wszystkiem, do czego przywykła i czego potrzebuje. Praktyka Janki rozwija się pomyślnie, ma ona w zawodzie swym zamiłowanie wielkie i wszystko idzie dobrze, tylko teraz zdrowie jej zachwiało się nieco. Jakaś nerwica sercowa, wcale życiu nie zagrażająca, wynikła z pracy wytężonej, z wrażeń denerwujących, których w wielkiem mieście na każdym kroku pełno. Ale to przejdzie, to ustąpi najpewniej bez śladu od kilkomiesięcznego pobytu na wsi, na powietrzu leśnem, w odpoczynku, wśród tych, którzy ją bardzo kochają...

Umilkła. Czesław powtórzył:

— Bardzo kochają!

— Czy mylę się, czy istotnie w głosie twym drgnęła ironia, gdy powtarzałeś dwa te słowa? — zapytał Jerzy.

— Nie mylisz się. Może dlatego... że nie pamiętam już, jak wyglądają ludzie, którzy się pomiędzy sobą bardzo kochają...

— Przypomnisz to sobie teraz, wśród nas! — zawołała Krysia, rękę ku szwagrowi wyciągając.

Ale on końcami palców tylko dotknął tej, wyciągniętej ku niemu, drobnej, ciepłej dłoni i, jakby przypomniawszy sobie, że człowiek światowy milczeć w towarzystwie nie powinien, z widocznie sztucznem ożywieniem mówić i opowiadać zaczął.

Sposób mówienia jego był żywy, a chwilami ozdobny i świetny. Wyjątkowym zdolnościom swym, czy pomyślnemu zbiegowi okoliczności, czy pewnym może fluktuacyom uczuć swych, zawdzięczał, że czystości mowy ojczystej nie utracił i nie przestał posługiwać się nią w ten sposób, w jaki czynią to ludzie z wysoką kulturą umysłową i towarzyską. Czasem tylko jakieś słowo cudzoziemskie, lub jakiś zwrot kaleki wplątywały się mu w mowę, ale były to drobne skazy na tle czystem i błyszczącem. Czasem również jakiś ruch, gest, akcent zalatywał właściwościami, tym miejscom nieznanemi.

Mówił o samych tylko rzeczach miłych, pomyślnych, pięknych: o pracach swoich, o powodzeniu swem i stopniowem wznoszeniu się coraz wyżej, o cyfrach znacznych, o rozkoszach artystycznych i komfortach przerozmaitych, napełniających stolicę, do której niedawno został powołany i w której odtąd stale będzie przebywał.

Mówił ze zgięciami głosu tak rozmaitemi, z przerwami tak niespodziewanemi i z tak zmiennym wyrazem ust i oczu, że niepodobna było powiedzieć na pewno, czy panującem w tej chwili uczuciem jego był tryumf lub ironia, radość lub zgryzota. Może z biegiem tajemnych myśli każde z uczuć tych zapalało się w nim, to gasło, lecz wszystko razem było prawdziwą odą do wielkości, która skończyła się na tem, że twarz pieśniarza nagle jakoś zastygła, zmartwiała i z czołem zmarszczonem, w niespodziewanem zamilknięciu pochyliła się nizko nad filiżanką niedopitej herbaty.

Jerzy i Krysia żadnem zapytaniem i żadną uwagą nie przerywali mowy brata i nie odpowiedzieli na nią żadnem słowem. Przez kilka minut pomiędzy trojgiem ludzi tych trwało milczenie.

Na ganek weszła Janina, a Krysia z większą jeszcze, niż zwykle, żywością rzuciła się ku niej z zapytaniem o dzieci, które z powodu kochanego gościa sama wieczoru tego zaniedbała.

— Czy Jurek beze mnie usnął?

— Wyśmienicie.

— Mogłabym być zazdrosną Jani o tego malca; gdy ona jest tutaj, on kochać mię przestaje...

— To ulubieniec mój — z cicha rzekła Janina i śliczny uśmiech roztworzył na chwilę jej różowe usta.

Usiadła przy stole; twarz jej w zapadłym zmierzchu zaświeciła bladością delikatnego opłatka. Rumieńce, które przed godziną przyniosła z lasu, zgasły bez śladu.

Od dość już dawna nocna pościel świata, ze zmierzchu i gwiazd utkana, opuściła się na ziemię i gdzieniegdzie tylko, w dalekich mrokach lasu haftowały ją dogorywające purpury wieczornych, zorzowych blasków. Cisza była teraz głębszą jeszcze, niż u dziennego schyłku, bo zwierzęta i ptaki usnęły, a w powietrzu nieruchomem nie poruszał się żaden liść na drzewach i nie chwiała się u ziemi żadna łodyga, ani trawa. Na uciszoną ziemię niebo patrzało mnóstwem złotych oczu, a las rozlewał po niej rzeźwość bujnej rosy i ziemny zapach swoich zroszonych spodów.

Wśród powszechnego milczenia rzeczy i ludzi, na ganku ozwało się westchnienie tłumione, lecz do stłumienia niepodobne, jakby usiłujące zrzucać z piersi, które

je wydawały, ciężar wielki, lub wielkim haustem wciągać w nie ciszę, wonie, ciepło, piękność, gwiaździstość tej nocy. Zaraz potem prawie do szeptu zniżony głos męski wymówił:

— Jak tu cicho, ciepło, pięknie, gwiaździsto!...

Kiedy po upływie chwil kilku Krysia mówić zaczęła, że po zmęczeniu podróżą możeby kochany gość chciał udać się na spoczynek, Czesław zawołał:

— O nie, nie! Pozwólcie państwo jeszcze chwilę... jeszcze chwilę... Pod gwiazdami!

O jakich gwiazdach myślał? o tych, co świeciły na niebie, czy o tych, co pod bladem czołem Janiny zamyślone i błyszczące spotkały się w tej chwili z gorącym blaskiem i przepastnem zamyśleniem jego oczu?

Po upływie pewnego czasu, gdy dwaj bracia znaleźli się sam na sam w pokoju, dla gościa przeznaczonym, Czesław, bardzo blizko przed Jerzym stając, rzekł:

— Mam prośbę do ciebie, Jurku!

— Nareszcie nazwałeś mię tak, jak nazywali mię niegdyś rodzice nasi! Dlaczego dotąd nie uczyniłeś tego ani razu? Dlaczego mówisz do nas: państwo, do żony mojej: pani? Jest-że to przyzwyczajenie, zobojętnienie, niechęć do zbliżenia się...

— Nie. To nieśmiałość. Nie śmiem...

— Nie śmiesz? Ty — nie śmiesz?

— Nie śmiem. Ale oddawna już imię twoje, z tem brzmieniem, jakie miało w ustach kochanej matki naszej, wróciło mi do serca i pamięci.

— Wróciło! Więc przedtem... Ale jakąż to ma być prośba twoja?

— Abyś pozwolił mi tygodni kilka przepędzić w domu swoim.

— Abym pozwolił! Czesławie!

— Tak. Bo widzisz z odległości wydawało mi się to łatwem... lecz odkąd próg ten przestąpiłem... Czy ty mię teraz znasz — Jurku? Czy wiesz, jakim jestem, jakim się stałem, co uczynić mogłem.... Widzisz, można wiele błądzić, a jednak przed oszustwem cofać się, mieć wstręt!... Oszukiwać cię nie chcę, oto wszystko. Możesz o mnie wiedzieć to tylko, co ci sam powiem. Chcę, abyś wiedział, że wszystkiego nie powiem. Oto. A gdybyś wiedział, to możebyś nie chciał...

Chwila milczenia; potem głos Jerzego przyciszony, lecz stanowczy.

— Chcę wiedzieć to tylko, o czem ty mi powiedzieć zechcesz.

— Pamiętaj i to także, że, gdybym powiedział, możebyś... nie chciał.

— Nie; cokolwiek się stało i cokolwiek nas dzieli, pozostań tu jak najdłużej.

— Dziękuję. Ale pamiętaj! Podstępnie gościnności twej...

— Mów: przywiązania braterskiego...

— Które niegdyś było tak głębokiem, jak wszystkie twoje uczucia, ale teraz...

— Trwa i pragnie, abyś w tym domu znalazł spoczynek, jeśliś zmęczony, i pociechę, jeśliś nieszczęśliwy.

— Dziękuję. Jeślim nieszczęśliwy... czy wyglądam na nieszczęśliwego?

— Trochę, chwilami...

— Proszę cię, nie zwracaj na to uwagi i nie zapytuj...

— Nie będę.

Byli tą krótką rozmową tak zmęczeni, że musieli usiąść i obaj przesunęli dłonie po czołach, które zapłonęły.

Po chwili Jerzy wahającym się głosem zaczął:

— Chciałbym tylko zapytać cię — jeżeli powiedzieć możesz — co było przyczyną twego długoletniego milczenia?

— Każdy fakt ma swoje przyczyny pośrednie i bezpośrednie. Najbezpośredniejszą przyczyną tego, że odzywać się przestałem, było to, że postanowiłem zerwać na zawsze...

— Ze mną?

— Z tobą, z wami, ze wszystkiem, co było naszem, a pozostało waszem...

— Czesławie!

— Zerwać i zniknąć. Tak zniknąć, aby imienia mego nikt tu nie wymówił.

— Cóż to było? Gniew? Ambicya granic nie znająca...

— Nie wyszukuj klucza do zagadki...

— Dobrze... przebacz... jednak było coś, co cię ku nam z powrotem zawróciło?

—Ach! zawróciło mię ku wam życie, życie, które obiecuje słońca, a daje pozłacane blaszki, zawróciła mię ku wam tęsknota, która gryzie serce, gasi myśl, rujnuje organizm fizyczny, niszczy duchową równowagę...

— Nostalgia?

— Nostalgia, neurastenia i... wszystko w tym rodzaju. Widzisz, człowiek bywa czasem jak liść, rzucony na dwa potoki, rozbiegające się w strony przeciwne. Płynie jednym, a drugi wywiera na niego taką siłę przyciągania...

— Że liść płynie na fali powrotnej...

— I przez chwilę na niej odpoczywa. Spostrzegam, że mówimy metaforami. Niechże więc będzie o jedną metaforę więcej. Poczytuj mnie za zwiedzacza górskich lodowców i stromizn, który w noc burzliwą przybył do schroniska...

— I po upływie godzin kilku odejdzie?...

— Z powrotem do zwałów lodowych i rozpadlin skalnych.

— Niechże odejdzie z zapasem sił i pociechy...

Podali i silnie uścisnęli sobie ręce. Oczy Jerzego powlekły się mgłą wilgotną; Czesław nadaremnie hamował drżenie warg.

Na stole spokojnie paliła się lampa i spokojnie za oknami stały wyniosłe drzewa. W ciszy pokoju czasem tylko słychać było, jak wielki motyl nocny uderzał skrzydłami o szklaną pokrywę lampy.

Czesław wpatrywał się w brata zmęczonemi, lecz zawsze niepospolicie pięknemi, oczyma.

— A ty? Ty masz swoją śliczną Krysię, postępujesz drogą gładką, prostą, obracasz się w kole zjawisk ukochanych. Jednak, gdybyś mię zapytał tak, jak ja ciebie zapytywałem: Czy wyglądam na nieszczęśliwego? tak samo, jak ty, odpowiedziałbym: Trochę, chwilami. Wyglądasz za staro na swój wiek, masz już trochę zmarszczek na czole i siwych włosów u skroni, gdy zamyślasz się, powieki tak jakoś ciężko opadają ci na oczy...

Istniałyżby i w twojem życiu ostrza szarpiące i brzemiona tłoczące?

Po chwilowym namyśle Jerzy mówić zaczął. Mówił ze spokojem zupełnym, lecz nie zupełnie wolnym od zaprawy smutku.

Mówił, że rodzinne szczęście jego jest niezwykłem i nieskazitelnem. W naturze swej miał zawsze tę właściwość, że gdy raz kogoś lub coś pokochał, to już na zawsze. Serce jego nie odstaje nigdy od tego, do czego raz przylgnęło. Krysię kocha na sposób może inny, lecz jeszcze silniej i głębiej, niż wnet po ślubie. Życie z nią sprawdziło wszystkie jego marzenia o uczciwym, rozumnym i pełnym nieustającego uroku związku dwojga ludzi. Jest również szczęśliwym ojcem dzieci zdrowych i roztropnych, których wykształcenie na ludzi, przekonaniom jego odpowiadających, jaśnieje przed nim jako cel zajmujący i ważny. Taką jest jedna, dobra strona obrazu. A teraz odwraca obraz na stronę drugą...

Dla człowieka z umysłem oświeconym i sercem pobudliwem szczęście rodzinne nie może być wszystkiem. Posiada on otoczenie, z którego padać nań mogą grube zmroki i zwalać się ciężkie brzemiona; posiada on oprócz uczuć rodzinnych uczucia idealne, które mogą być niemniej od tamtych źródłem radości albo źródłem cierpień. Usiłowanie idei rozpina człowieka na krzyżu zawsze, ilekroć idea sama jest na nim rozpięta, a wówczas szczęście rodzinne to drogocenny balsam na rany, które jednak boleć nie przestają. Obrzydzenie dla pewnych gatunków zła i współczucie dla pewnego rzędu cierpień, połączone z uczuciem własnej przeciw temu złu i przeciw tym cierpieniom niemocy, to brzemiona, wa-

łące się na duszę i od których niesienia spracowują się barki.

Spracowują się też barki duszy i ciała od dłuigej, wytężonej pracy. On lubi swoją pracę i to pole, na którem ją rozwija, więc jest ona obok rodzinnego drugiem jego szczęściem. Nie wolnem przecież jest szczęście to utrudzeń ciężkich, od trosk, od szorstkich zetknięć z ludźmi, od trudnych samo-egzaminów umysłu i sumienia, a wszystko to nuży, wyczerpuje, gasi człowieka, rzeźbi mu w zmarszczki ciało i duszę, nie będąc właściwie nieszczęściem, szczęściu doskonałem być nie pozwala...

Zresztą doskonały człowiek, doskonałe dobro, doskonałe szczęście, są to ideały, ku którym życie ziemskie wspina się ciągle, lecz czy kiedykolwiek ściągnąć je z nieba swego na ziemię zdoła? — pytanie. A już od samego przemieniania się wiary młodzieńczej w to pytanie niejeden włos u skroni bieleje...

Wstał Jerzy i prawie wesoło dodał:

— Mówiąc krótko, jestem człowiekiem szczęśliwym, ale mającym spracowane barki...

Czesław, ściskając na dobranoc rękę brata, rzekł jeszcze:

— A największem szczęściem twojem, Jerzy, jest, wiesz co? Oto, że po dziesięciu latach niewidzenia się z bratem możesz mu z łatwością i otwarcie powiedzieć wszystko!

III.

Dwie siostry, pomimo różnic, zachodzących w charakterach, zajęciach i losach, posiadały wiele cech wspólnych, a jedną z nich był ten przymiot, więcej psychiczny aniżeli fizyczny, któremu Grecy starożytni dawali nazwę gracyi. Gracya jest wdziękiem ciała, pochodzącym z wdzięku duszy. Zewnętrzne piękno jej pochodzi z wewnętrznej słodyczy i harmonii. Istoty, nie posiadające w sobie linii ducha, zakreślonej łagodnie i wytwornie, posiadać jej nie mogą.

Istnieje gracya nietylko poruszeń ciała, lecz również mowy, uśmiechu, ubrania, najbliższego otoczenia, samej nawet myśli i samego wykonywania prac, z pozoru oddalonych od pojęcia wdzięku.

Obie siostry posiadały ten rys ducha i ciała, który natura przeciągnęła po kobietach ich rodu wyraźniej, niż uczyniła to dla wielu rodów innych.

Drobna wzrostem, Krysia miała główkę greuzowską, złotą i różową, uśmiechnioną, filuterną; w głębokich oczach i na bladem czole wysmukłej Janiny często zjawiała się zaduma kobiety, która wiele uczyła się, ro-

zumiała, pracowała i może cierpiała, lecz obie zarówno posiadały niewyuczoną, nieudawaną, lecz z samej psychiki ich wypływającą sztukę przemieniania izdebek na salony i perkalików na szaty salomonowej świetności, czynienia z kroków swych harmonii i z głosów melodyi. Posiadały one sztukę wlewania kropel kojącej słodyczy i strof dźwigającej nad szare poziomy poezyi, w życie zawsze twarde, zawsze pełne drobnych, w najlepszym razie, okrucieństw.

I uśmiechów wesołości także. Obie były do wesołości skłonne i po koniecznych w każdem życiu zasępieniach szybko odzyskiwały pogodę. Możnaby powiedzieć, że natura włożyła w nie pewien zasób mówienia, śpiewania, śmiania się, który wydawać z siebie musiały. Wydawały go w formie nieco różnej, lecz grube i trwałe chmury smutku, czy gniewu, czy nadąsania od żadnej z nich nie opuszczały się na otoczenie nigdy. Chwila zamyślenia lub rozmowy o rzeczach bolących czy ważnych, godziny pracy, żwawej i ruchliwej u Krysi, skupionej i cichej u Janiny, a potem znowu dom napełniał się pogodą, swobodą, wdziękiem, tryskającym ze słów, z poruszeń, z uśmiechów, z kwiatów, z serc, życzliwych wszystkiemu, co rozkwita, i litościwych dla wszystkiego, co więdnie, lubiących piękno i umiejących z byle czego wytworzyć je dokoła siebie.

Wszystko to składało się na atmosferę, która skromne wnętrze domu czyniła czemś swoistem, czemś nawskroś przeniknionem swoistością, nie pojedyńczych tylko jednostek, ale całego rodu. Człowiekowi, długo od stron tych oddalonemu, atmosfera ta nasuwała tłumy przypomnień z lat dawnych, z lat dziecięcych, z mło-

dzieńczych zachwyceń i zapałów. Sprzyjała też ona skupianiu się jego myśli i wymowie wszystkich, jakie w nim żyły, głosów uczucia i poezyi.

Czesław prędko spostrzegł, że dom ten jest dla niego pełen uroków, lecz, że nie znajdzie w nim tego uspokojenia burz i ukojenia ran tajemnych, którego, przybywając tu, spodziewał się i pragnął. Spracowany umysł jego i spracowane oczy odpoczywały, lecz tętna tajemnicze, które przeszłość w nim obudziła, o których sam jeden tylko wiedział, coraz silniej pracować poczęły. Myślał przedtem, że, znalazłszy się tutaj, napije się wody leczącej i przestanie cierpieć, a teraz zdawać mu się zaczęło, że nadzieja ta była zwodniczą i że bywają takie bóle, których człowiek ani tu, ani gdzieindziej, ani nigdzie, ani nawet na krótkie tygodnie wyrzucić z siebie nie może.

Nikt w Polance nie wstawał ze snu późno, ale Czesław czynił to najwcześniej ze wszystkich. Nie mógł tu sypiać długo. W wielkich miastach nie przerywały mu snu grzmotliwe turkoty uliczne, do których był przywykł; tu budziły go ze snu szepty nadziei bardzo drobnych, lecz nie zaznanych oddawna. Zobaczyć wschód słońca, posłyszeć szczebiot budzącego się ptactwa, odetchnąć woniami lasu, mocnemi, o rannej rosie, napoić oczy wolną przestrzennością pola, które za lasem leżało w porannej zadumie kłosów i grusz dzikich, były to nadzieje bardzo drobne, które jednak posiadały moc budzenia go ze snu bardzo wcześnie.

Wszyscy w domu spali jeszcze i jedna tylko Dębsia, czyniąc porządki domowe, zaczynała czasem majestatycznym krokiem obnosić po domu swoją szeroką twarz, oko-

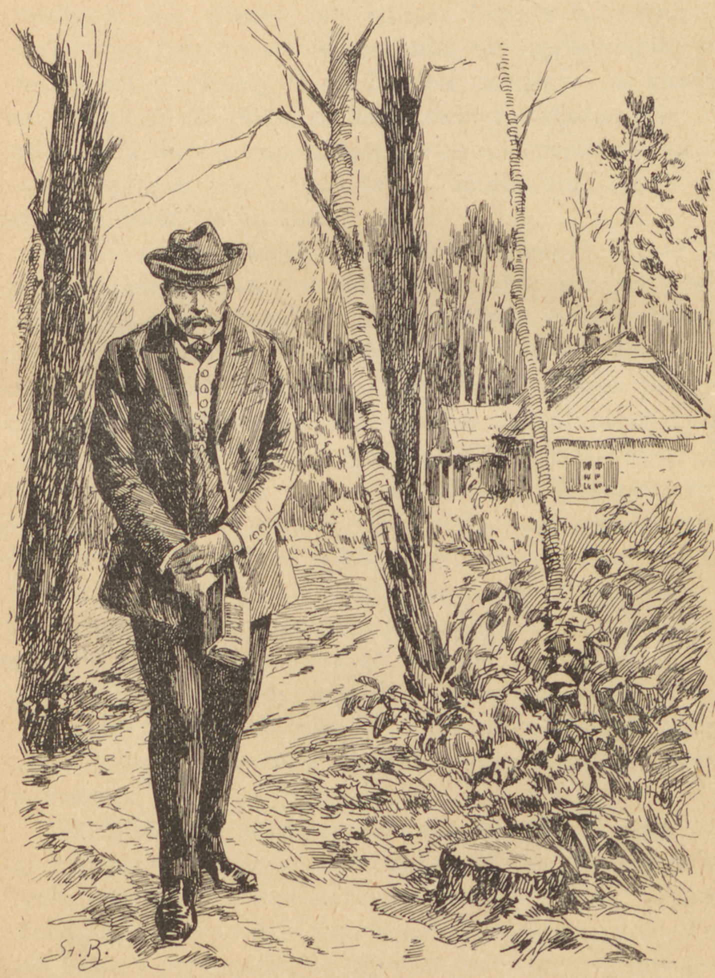
loną garnirowaniem białego czepka, gdy on, z książką w ręku lub bez książki wchodził w napełniające las sine bladości świtania lub w białości nocnych oparów i — przez długie godziny nie powracał.

Troskliwie raz przez brata zapytany: dlaczego wstaje tak wcześnie i w jakie strony przechadzki swe skierowuje, bo są tu i takie, w których z powodu zwierząt chodzić bez broni niezupełnie jest bezpiecznie, w sposób żartobliwy odpowiedział:

— Co do tego wczesnego wstawania i długich przechadzek — to jestem w roli kochanka, który rozpoznaje wdzięki swej opuszczonej oddawna kochanki, a co do zwierząt — to i owszem, niechby mię tu wilki zjadły! Człowieka przecież zawsze coś jeść i zjeść musi.

Mówił to w sposób tak żartobliwy, że Krysia zaśmiała się, ale Jerzy długo z twarzy brata wzroku nie zdejmował. W żarcie dosłyszał gorycz gryzącą, a co do tej kochanki, której wdziękom Czesław przypatrywał się po długiem rozłączeniu, czy była to tylko natura, sama jedna natura, albo może... I zaraz przebiegła mu przez głowę myśl: a gdyby? Jakieżby to było szczęście... szczęście może dla niej, najpewniej dla niego, bo tak bardzo od czegoś pociemniał...

Ale zdawało się, że trafności przypuszczenia tego nic nie potwierdza. Od przyjazdu Czesława kilka dni już upłynęło, a stosunek jego do Janiny ani na jedną chwilę nie przekroczył granic zwykłej uprzejmości towarzyskiej. Oboje nie unikali i nie szukali się nawzajem. Wyglądali na ludzi obcych sobie i mało znajomych, którzy przy spotkaniu nie bez przyjemności zamieniają ze sobą zdania, ze wspólnej im strefy wysokiego myślenia po-



Z książką w ręku wchodził w napełniające las sine bladości świtania.

chodzące. Nic więcej. Nic więcej Jerzy i Krystyna we wzajemnym ich do siebie stosunku nie spostrzegali, lecz rzeczą jest wiadomą, że na każdem miejscu i w każdym momencie ludzie płyną na fali rzeczy niewiadomych, nietylko tych, które, napełniając świat nadzmysłowy, są dla nich niepojęte, ale i tych także, które tają się w duszach podobnych im ludzi.

Nikt nie zauważył, że, pomimo pięknej ciągle pogody, Czesław dwa już poranki spędził nie na przechadzkach za domem, ale w niewielkim pokoju bawialnym, przez którego okna ciekawie zaglądały niezliczone, białe oczy rozkwitłych jaśminów. Czytał gazetę, przerzucał książkę, pomimowolne spojrzenia rzucał niekiedy na drzwi zamknięte, czegoś oczekiwał. Oczekiwał otworzenia się drzwi i ukazania się w nich Janiny. Wiedział, że o pewnej godzinie rannej ukazywała się ona w tych drzwiach, przebiegłszy pokój, wychodziła z domu i kędyś na długo znikała. Przychodził tu w tej porze już po raz drugi, nie bez uprzedniego wahania się i z czołem zachmurzonem. Znać było, że wolałby tu nie iść, że wolałby iść gdzieindziej, jednak przychodził. Znać w nim było człowieka, mającego w sobie dwa głosy i ulegającego jednemu z nich, z wewnętrznym na samego siebie gniewem.

Siedział przy otwartem oknie z książką w ręku; gałąź kwitnącego jaśminu dosięgała jego bujnych, bronzowych włosów. Na zielonem i złotem tle okna wypukle odrzynały się kształty jego rosłe, zgrabne i silne. Trudno byłoby przypuścić, że człowiek tak silny nie ma dość siły do rządzenia samym sobą. On sam może dziwił się

temu i coraz chmurniej ściągał brwi nad spuszczonemi powiekami. Czasem z pod powiek strzelały ku drzwiom zamkniętym spojrzenia szybkie, cierpiące i gniewne.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich Janina, cała różowa. Miała na sobie codzienną suknię z blado-różowego perkalu, a po raz już drugi o tej samej porze ujrzawszy tu Czesława, od białych muślinów otaczających szyję po brzegi jasnych włosów, oblała się blado-różowym rumieńcem. Lecz łuna ta zgasła prędko. Z uprzejmym uśmiechem postąpiła ku gościowi, rękę mu na dzień dobry podając. Powitali się, jak zwykle: uprzejmie, lecz obojętnie, poczem zamieniali przez chwilę pospolite zdania o wczesnem wstawaniu ze snu, o cudnej pogodzie, o nagle przez dni kilka i z bogactwem niesłychanem rozkwitłych jaśminach. Janina uczyniła ruch do odejścia, ale on nagle i prędko, bez prośby w głosie, owszem, prawie szorstko, rzekł:

— Niech pani na chwilę zostanie. Chciałem panią zapytać...

Zawahał się, bo właściwie o nic jej zapytywać nie zamierzał, a ona, zdziwiona nieco brzmieniem jego głosu i nagłem przerwaniem mowy, bez chwili wahania odpowiedziała:

— Nie mogę teraz, muszę iść...

Spojrzała na zegarek.

— Już późno! Zaspałam dziś trochę...

Uprzejmie skinęła głową i szła ku drzwiom.

Czesław, ani kroku za nią nie czyniąc, zapytał:

— Dokąd zawsze tak wcześnie i tak śpiesznie?

Od drzwi już odwróciła głowę i z wesołym uśmiechem odpowiedziała:

— Obowiązek!

Zniknęła.

Czesławowi utkwił w oczach wdzięczny ruch, z jakim od progu zwróciła ku niemu twarz, filuternym uśmiechem rozpromienioną. Wyraz tak surowy, jak: obowiązek, z takim uśmiechem połączony... Takie połączenie może wyjmować kolce z twardej obroży życia. On tę obrożę zna; tylko, że niczyje ręce kolców z niej nie wyjmują. O! gdzież tam! To trzeba umieć, a może raczej z tą umiejętnością trzeba się urodzić. Najpowszechniej ludzie zaciskają dokoła szyi innych ludzi obroże życia, i kolce obroży obracają w żywem ich ciele...

W kilka godzin potem Jerzy, który miał ranki po brzegi napełnione pracą zawodową, znalazł brata, siedzącego przy otwartem oknie, za którem kwitły jaśminy. Był pogrążony w czytaniu książki, ale pomimo zajęcia się jej treścią czuł snać w sobie pracę wewnętrznych molów, bo czoło miał zmarszczone i usta gorzkie. Była to w tej chwili twarz zmartwiona głęboko i gorzko.

Jerzy zbliżył się do zaczytanego i rękę położył mu na ramieniu.

— Skąd przybyło zmartwienie? Z książki, ze świata, czy z ciebie samego?

Czesław podniósł na brata oczy chmurne i z żywością prawie gwałtowną mówić zaczął:

— Ze mnie samego. Po raz nie wiem już który w życiu zawiodłem się na samym sobie i jestem na samego siebie rozgniewany. Najgorszym jest gniew na samego siebie, najgorszem jest przekonanie się po raz jeden wię-

cej, po raz nie wiedzieć już który o marności własnej, właściwie o marności swojej woli. Ach, ta wola człowieka, te jego postanowienia! Trzciną, słomą są one... Wiesz, Jerzy? Mam w duszy pogardę dla natury ludzkiej i kiedy się nad nią zastanawiam, kiedy się nad samym sobą zastanawiam, przestaję do ostatka lękać się twoich zwierząt leśnych, które mię pożreć mogą...

Śmiał się przy słowach ostatnich, ale śmiech jego miał brzmienie nieszczere i przykre.

Jerzy ojcowskim ruchem objął mu głowę obu dłońmi i rzekł łagodnie:

— Uspokój się, Czesiu! Patrz, jak ten świat jest piękny, i odpoczywaj w widoku jego piękności. Wszak nie rozpaczasz nad tem, że piękność ta miewa na sobie skazy. I człowiek również, ze skazami na duszy i życiu, może być, może stać się pięknym.

Czesław obu dłońmi przytrzymał na swych skroniach dłonie brata.

— Dobry jesteś! Dobrzy jesteście wszyscy! Dobrze mi z wami... tutaj... przed pięknem obliczem tej ziemi... Gdyby tylko można było zgasić... gdyby można było choć na te krótkie tygodnie zgasić pamięć...

Wstał, zaśmiał się znowu.

— Słuchaj, Jurku! niema tu gdzie, w tym raju twoim, Lety? Czy nie płyną tu gdzie w pobliżu wody zapomnienia?

Nagle zmienił przedmiot rozmowy.

— Proszę cię, Jurku, wytłómacz mi zjawisko, które już po raz drugi dziś zauważyłem i którego znaczenia nie rozumiem...

Od kilku dni godziny ranne w tym pokoju przepędzając, słyszę codziennie turkot wielu przyjeżdżających i kędyś w pobliżu zatrzymujących się wozów czy bryczek, które czarodziejską jakby moc wywierają na pannę Janinę, bo wtedy właśnie, gdy się one rozlegają, wychodzi ona ze swego pokoju, kędyś śpieszy, na długo znika. Turkot wozów, rzecz prosta, i znikanie z domu na kilka godzin panny Janiny również rzecz prosta; ale zaciekawia go połączenie tych dwóch zjawisk — i jeżeli wiedzieć można...

— Ależ można, można! Połączenie dwóch rzeczy prostych jest rzeczą również prostą. Na wozach i bryczkach przyjeżdżają z okolicznych wiosek, dworów, dworków chore kobiety i dzieci, a Janka idzie opatrywać je i leczyć. Przecież jest doktorką...

— Prawda! Zapomniałem... Tak niczem nie przypomina...

— Po co ma przypominać i czem ma przypominać? Czy chciałbyś, aby nosiła ciągle lancet w ręku i biret na głowie...

— W najmniejszym stopniu nie chcę! Ta jej właśnie prostota, naturalność...

— Różowa sukienka...

— I różowa sukienka, z czemś takiem ładnem, białem u szyi...

Śmieli się obaj i śmiech Czesława był tym razem szczery, wesoły.

— Chciałbym natomiast zobaczyć, gdzie i jak...

— Gdzie, nic łatwiejszego, ale jak, prawie niepodobna. Janka do pracowni swej nie pozwala z absolutnością

niezłomną wchodzić nikomu, oprócz Krysi, którą na czas nieobecności swej uczy różnych sposobów ratowania bliźnich w wypadkach elementarnych, albo nagłych. Dla innych bywa zazwyczaj nieubłaganą.

— Pójdźmy tam jednak, spróbujmy. Może w drodze łaski...

Kilka minut wystarczyło im do znalezienia się na gospodarskiem obejściu domowem, pełnem drzew, u wejścia do oficyny niedużej, przed którą stało kilka wozów i bryczek, gdy kilka innych już przez podwórze ku drodze leśnej odjeżdżało.

Weszli do sionki, w tej chwili przeludnionej, bo kobiety wiejskie z dziećmi na ręku i bez dzieci tłumnie i gadatliwie cisnęły się ku wyjściu. Rzeczy dość przykre: zmrok izdebki, z jednem oknem, przez drzewa ocienionem, ścisk ciał, gwar głosów grubych, powietrze duszne.

— To poczekalnia — objaśniał Jerzy — a za temi zamkniętemi drzwiami pokój do przyjmowania. Nikogo już tam niema. Zapukajmy. A może... nie upokarzając się prośbą, uczyńmy z dumą odwrót...

Czesław z żywością odrzucił propozycyę odwrotu, Jerzy pragnął dogodzić chęci brata, tem więcej, że przed chwilą widział go czemś zmartwionym i rozdrażnionym. Zapukał do drzwi zamkniętych.

— Czy można wejść?

Z wnętrza pokoju odezwał się głos Janiny.

— Nie można, przepraszam, wyjdę stąd zaraz sama...

Jerzy wesoło do brata szepnął:

— Trzeba użyć fortelu...

I, przybliżywszy usta do drzwi, rzekł głośno:

— Z poselstwem od matusi...

— Od matusi...

Drzwi otworzyły się natychmiast i w progu stanęła Janina.

Miała na sobie duży, biały fartuch, który ją od stóp do szyi okrywał. Nad tą białością głowa jej unosiła się w złocie włosów nieco rozwianych i prześwieconych przez słońce.

— Czego matusia... co... może niezdrowa?

W błyszczącym szafirze oczu migotał niepokój.

— Przebacz! skłamałem! fortel wojenny! — wołał Jerzy. Chcemy... oto... ja i Czesław... popatrzyć na pole twojej pracy...

Z oczu jej niepokój znikł, a zapłonął w nich natomiast ognik gniewu.

— Jeżeli tak, — powoli i bez uśmiechu rzekła — to radzę panom iść do Suchej i popatrzyć tam na pole pracy doktora Barszczyńskiego. Osobliwość zupełnie taka sama, a w zysku mała przechadzka...

— Mała! Dobra jesteś! Do Suchej trzy mile...

Z wyrzutem patrzała na Jerzego i więcej już z rozżaleniem, niż z rozgniewaniem rzekła:

— Ty wiesz, Jurku, jak mi przykro stawać przed światem w roli... w roli Feniksa!

— Tu niema świata, Janko, tylko my dwaj: ja i...

— Nasz gość! — z uprzejmym uśmiechem podchwyciła i ładnym gestem wskazała wnętrze pokoju.

— Proszę!

Pokój, a raczej izba dość obszerna, za oknami zielone firanki drzew, pod ścianami kilka sprzętów z niewiadomem dla profanów przeznaczeniem, stolik z przy-

rządami toaletowymi, jakaś szafa, jakaś skrzynka, trochę rozrzuconych tu i owdzie narzędzi lekarskich. Nic osobliwego.

Janina zaśmiała się.

— Takich osobliwości, jak ten pokój, jest na świecie może... milion!

— Czy gabinety doktorskie nie posiadają statystyki ścisłej, że pani mówi: może?

— Świat jest pełen niepewności i ta statystyka do nich należy.

Jerzy zawołał:

— Nie będę mówił komplementów! Jedyną osobliwością tego pokoju są napełniające go zapachy — wcale nie osobliwe. Karbol, jodoform... czy ja wiem co, ale nie rozumiem, jak ty tu, Janko, długie godziny spędzać możesz!...

Obojętnie wzruszyła ramionami.

— Przyzwyczajenie! Czyś ty, Jurku, nie przywykł spędzać długie godziny nad rachunkowemi księgami, które mnie przerażają?

— To prawda. Każdego z nas życie przyzwyczaja do jakichś...

— Gryzących substancyi! — wtrącił Czesław.

— Nietylko — zaprzeczył Jerzy; — mnie przyzwyczaiło jeszcze do zapachów leśnych, i dlatego proponuję, abyśmy we troje, zaraz, poszli do lasu na przechadzkę. Zgadzasz się na to, Janko?

— Z największą chęcią. Proszę tylko o kilka minut czasu i o zaczekanie na mnie „pod umówionym jaworem“.

— „Ach! ktoś tam klaszcze za borem!“ — najniespodziewaniej zanucił Czesław.

Jaśniał teraz od radości. Niewiadomo, skąd ona na niego spłynęła, ale rozpromienił się w niej cały i odmłodniał.

— Pan pamięta stare pieśni nasze?

— Od zapytania tego przygasł nagle. Zawahał się z odpowiedzią, a potem rzekł:

— Zapytanie o dobrą pamięć, to zapytanie o szczęście, albo nieszczęście człowieka...

— Ponieważ?

— Ponieważ dobra pamięć, to dla człowieka najczęściej nieszczęście.

Oczekując na Janinę, stanęli, nie pod jaworem, lecz pod grupą brzóz, rosnących u wrót podwórza, wprost i szeroko na las otwartych.

Jerzy chciałby Krysię na tę przechadzkę namówić, ale dziś do niej przystępu niema. Coś tam z Dębsią pieką czy smażą. On zaś ma tylko jedną godzinę wolnego czasu i użyje jej na pokazanie bratu dość blizkiej i niezwykle pięknej łąki leśnej. Byleby toaleta Janiny długo nie trwała! Ona tak zawsze: po godzinach zajęć starannie naprawia zrządzone przez nie ruiny. Tak samo Krysia: po Krysi również nikt-by poznać nie mógł, że tylko co piekła, albo smażyła, albo borykała się z dziećmi, które tę wspólność mają z narodami dzikimi, że strasznie nie lubią mydła. Obie tę elegancyę, czy ten dobry smak mają już we krwi.

Przestał mówić, bo Janina nadchodziła. Nie miała już na sobie wielkiego fartucha, tylko tę różową, codzienną suknię, z białym puchem muślinu u szyi. W ręku niosła słomiany kapelusz. Śpieszyła tak, że aż była zdyszana i tak samo, jak od Czesława, biła od niej radość.

— Jeszcześmy ani razu wspólnie z panią nie byli w lesie.

Odpowiedziała ze śmiechem:

— Zdarza się, że zdarzają się rzeczy, które nigdy przedtem się nie zdarzyły.

A on z powagą zabawniejszą od śmiechu odpowiedział:

— Stylistyka nadzwyczajna, lecz prawda zaprzeczeniu nie ulegająca.

Ale ona była już daleko. Spostrzegła o kilkanaście kroków rosnące kwiaty, szybko ku nim poszła i zaraz, kilka ich niosąc w ręku, powracała.

— Anemony, z rodziny pierwiosnków, późno w tym roku zakwitły. Podobne do narcyzów, nieprawdaż? Proszę! Niech panowie temi białemi gwiazdami osoby swoje przyozdobią; i ja uczynię to samo.

Podała towarzyszom po jednej gwieździe białej, a kilka ich wpięła w swoje włosy.

— Dokąd idziemy, Jurku?

— Do Królestwa Szczęścia — odpowiedział Jerzy.

— Więc są tu, wśród wielu rzeczy bajecznych i królestwa bajeczne? — uśmiechnął się Czesław.

— Takie imię miejscu temu nadała niegdyś Janka.

Janina stanęła nagle w rumieńcu, lecz ochłonęła prędko.

— Jeżeli widok piękności i bogactwa natury jest szczęściem, to łąka ta jest jego królestwem.

Szli zrazu lasem rzadkim, po ślizkiem igliwiu, opadłem z wysokich sosen, ale wkrótce przestrzenie zagęszczać się zaczęły nadbiegającemi ku sosnom drzewami gatunków rozmaitych. Grunt stawał się niższym,

żyźniejszym, wydawał z siebie coraz większe bogactwo roślinności, wiał zapachem ziemi, przepojonej wilgocią i powleczonej gdzieniegdzie białawością grzybowych pleśni. Upalnie też stało się tu, trochę duszno i niezmiernie cicho, bo powiewy wiatru ciasnoty, a ptaki duszności nie lubią.

Tylko Jerzy mówił ciągle. Gdy znalazł się wśród lasu, wzięło go wnet pod władzę swoją ukochanie serdeczne i wyprostowywały się, młodzieńczą rzeźkość odzyskując, spracowane jego barki. Z rozkoszą, uczenie, wymownie, opowiadał o różnych gatunkach drzew, o ich wzajemnych walkach i rozmaitych losach, o anatomicznym ich układzie, o sposobach rozpoznawania, ile dziesiątków, albo niekiedy setek lat trwało już ich szumiące, gałęziste, przez wiatry i rosy pieszczone, przez burze wstrząsane, przez cisze nocy gwiaździstych do snu kołysane życie. Był to wykład uczony, poezyą, wprost z serca tryskającą, zaprawiony i prawie — nadaremny. Słuchaczom do słuchania go przeszkadzały często ich głosy wewnętrzne.

Janina szła spokojnie, krokiem równym, okrążając czasem stające jej na drodze kolumny sosnowe, ale zamyślone i w dal patrzące jej oczy zdawały się ze zdziwieniem coś rozważać, zastanawiać się nad czemś, o coś zapytywać. Czesław zaś wzrokiem uwiązł u jej ręki. Miała rękę piękną, kształtną, lecz szczególnie nerwową i giętką; czuć w niej było lekkość dotknięć i siłę ujęcia. Była to ręka kobiety wytwornej, stworzonej do wrażeń i do prac wyższego rzędu. Wzrok Czesława wiązł do tej ręki i gdy spokojnym, łatwym gestem podnosząc się w górę, rozchylała gibkie gałęzie leszczyn, ust jego dotykał

ledwie dostrzegalny i szybko znikający uśmiech, jakby krótkie drgnięcie uczutej rozkoszy.

Wtem przed oczyma idących stało się widno, przestronno, kolorowo, a na twarzach i w oddechach swych uczuli niewymowną świeżość i wonność.

Z dusznej gęstwiny wyszli na łąkę leśną, pełną powietrza i zapachów, roziskrzoną od gorejących w słońcu barw ziół i kwiatów.

Była to łąka nieskoszona jeszcze, bajecznie żyzna, otoczona wielkiem kołem lasu, przedziwnie bogatego w rozmaitość kształtów i odcieni. Nie brakło mu żadnego gatunku drzew, w strefie tej żyjących, i dlatgo oczy patrzących rozbiegały się po zielonościach prawie czarnych, majowo-jasnych, złotawych, srebrnych, migocących, jak miryadami iskier, białemi podszewkami liści. Przy powiewach wiatru wszystko to mieszało się z sobą, zasuwało i rozsuwało drżące firanki, płynęło napowietrznemi falami roztopionych zieleni i metali. Spodem zaś stały rozkwiecone zioła, wyrzucając w powietrze kłęby woni migdałowych, miętowych, miodowych i chwiejąc się nad zielenią traw, nad czerwonemi smugami szczawiów, pod muskającemi je skrzydłami mnóstwa białych i żółtych motyli.

Jerzy z tryumfem w oczach patrzał na brata.

— Spójrz na tę lipę starą, jak dwa stulecia! Co za grubość pnia i rozłożystość gałęzi, na których czy widzisz ten wieniec jasno-zielony, tam w górze, w górze... To jemioła, pasożyt szkodliwy, lecz piękny, nieprawdaż? A ten wiąz wyniosły! Jak on z góry i dumnie panuje nad grupą tych męczeńsko powykrzywianych olszyn! Tam znów, — popatrz! — gaik brzóz, taki wesoły, a pośród nich dąb

przysadzisty, jak brodaty patryarcha. Brzozy, jak panny w białych sukniach, otaczają staruszka i zapraszają go do tańca, po zielonym dywanie wyszytym w bratki...

Pokazywał, opowiadał, uśmiechał się, unosił, z oczyma błyszczącemi, odmłodzony, szczęśliwy.

— A teraz na te dwa drzewa popatrz!

To, co wskazywał, było grupą dwóch tylko drzew, odsuniętych od lasu i dość daleko wysuniętych na łąkę. I dlatego, że stały tak zosobna, rzucały się w oczy, z całą wyrazistością swych kształtów i swej niejako symboliczności.

Świerk ciemny z pniem prostym i z szeroko rozstawionemi gałęźmi, a tuż obok niego osika, równego z nim wzrostu, ale cienka, wątła, jasnem listowiem odbijająca od jego prawię czarnego igliwia. Rosły tak blizko siebie, że gałęzie ich mieszały się z sobą i na ciemny jego wierzchołek, z jej jasnego wierzchołka, sypać się zdawał rój iskier srebrnych; lecz były to jej liście, osikowe liście drobne, wiecznie drżące, srebrzące się w słońcu. On milczał i zdawał się z rozkoszą poddawać głowę pieszczocie jej lekkich, polotnych liści; ona szemrała metalicznie, jak cicha kaskada wody. U stóp ich leżał kobierzec, mieniący się pozłoconym bronzem mietlic i metaliczną czerwonością kwitnących szczawiów; nad głowami ich przepływał wachlarz białego obłoku.

Dwa te drzewa wyglądały na parę kochanków, szczęśliwych wśród leśnej świeżości, wonności i ciszy.

Czesław patrzał na te drzewa z wyrazem twarzy szczególnym, w którym domysł wesoły mieszał się z zamyśleniem. Więc dlatego, więc z powodu tych drzew zapewne, Janina tę łąkę nazwała Królestwem Szczęścia?

Patrząc na nią, wymówił powoli:

— Królestwo Szczęścia!

A ona, już nie bladoróżowym, lecz płomiennym rumieńcem oblana, pochyliła się nad krzakiem liliowych bodziszków i zaczęła pokazywać Jerzemu, jak te kwiaty były w tym roku wyjątkowo bujne i liczne.

Gdy zaś rozmawiała z Jerzym o różnych właściwościach flory miejscowej, którą oboje zdawali się znać z biegłością miłośników i uczonych, Czesław myślał o niezmiernem bogactwie tej natury kobiecej, której przypatrywał się z zaciekawieniem coraz żywszem. Pracuje, jak człowiek, rumieni się, jak podlotek, czasem igra słowami i kwiatami, jak wesołe dziecko. Natura przedziwnie wrażliwa maluje się w blasku jej oczu, w częstych rumieńcach twarzy i zbytecznej chudości policzków... nie maluje się tylko w ruchach zawsze spokojnych, nawet w chwilach wzruszenia lub pośpiechu, zachowujących czystość i spokój linii...

Nie była taką, nie była jeszcze taką przed dziesięciu laty. Życie — to rzeźbiarz czasem okrutny, ale czasem...

Z przestrachem spojrzał na Jerzego, który patrzał na swój zegarek. Nie chciał, aby przechadzka ta już się kończyła.

Jerzy nie ma już czasu, musi powrócić do domu i to śpiesznie, jeżeli nie chce spóźnić się z przyjęciem kilku podwładnych, których wezwał w sprawie ważnej. Przed kilku dniami zobaczył, że kędyś, w głębi tego lasu, sosny chorować zaczęły. Trzeba natychmiast przeciwstawić zarazie środki zaradcze. O tem dziś będzie mowa i narada. Musi iść, śpieszyć.

— Ale to nie powód, abyście i wy także do domu wracać mieli. Pogoda piękna, las jeszcze piękniejszy... Jance jak najwięcej przebywać trzeba wśród lasu.

Czesław przez chwilę z brwiami ściągniętemi patrzał w ziemię, lecz nagle i jakby przemocą na twarz tę zmartwioną, czy walczącą, wybił się uśmiech serdeczny, z którym spojrzał na Janinę.

— Czy pójdziemy dalej?

Ona, patrząc na ścieżkę, która z łąki wbiegała do lasu, uprzejmie odpowiedziała:

— Pójdźmy!

Poszli i długo nie wiedzieli wcale, ani jaką drogą, ani dokąd idą, tak odrazu wytrysnęła im z ust rozmowa, wśród której dusze ich wzajemnie przypatrywać się sobie zaczęły. Szli ścieżką krętą, ale gładką i końca zda się nie mającą, więc krokom ich i biegowi rozmowy nic na przeszkodzie nie stawało.

Pod naciskiem wewnętrznych sprężyn, pękła w nich tama, wzniesiona przeciw chęciom wzajemnego poznania się i zbliżenia. Poznania się, bo nie znali się już teraz wcale. Z rysów twarzy poznawszy się z łatwością, nie wiedzieli, w jaki sposób czas ubiegły wyrysował wewnętrzne ich oblicza. On pierwszy nieśmiało poprosił, aby powiedziała, jakim sposobem i z jakim przed sobą celem wstąpiła w świat nauki ścisłej i pracy trudnej, zawodowej? Czy nie za wielki ciężar wzięła na wątłe swe ramiona? Z jakiemi trudnościami ma do walczenia i jakie z trudów swych zbiera plony?

Nieśmiałość, z jaką zapytywał, dziwną wydawać się mogła w tym człowieku światowym, silnym, skądinąd pewnym siebie, lecz Janina, dosłyszała w niej brzmienia

serdeczne, może nieco smutne, budzące ufność, i uczuła chęć ukazania siebie w pełnej szczerości i prawdzie przyjacielowi lat dawno ubiegłych. Zaczęła więc opowiadać wszystko, od dalekiego w przeszłości dnia jego odjazdu, do tego, w którym niespodziewanie ujrzała go tu znowu.

Może pamięta, że miała od dzieciństwa pociąg i zdolności do nauki, przez wszystkich spostrzegane. Rzecz była prosta. Każdy posiada w sobie pociągi i zdolności górujące nad innemi, a od zadośćuczynienia im zależy w znacznej mierze jego szczęście i coś nad szczęście ważniejszego: jego moralna wartość. Ale w niej, oprócz pociągu do nauki, istniał bodziec inny, natury uczuciowej, ostrzejszy i głębiej zanurzony w niej, niż tamten. Była w nim wrodzona życzliwość dla ludzi i wielkie dla cierpień ich współczucie. Nietylko obojętnie, lecz bez męki własnej, nie mogła nigdy patrzeć na mękę czyjąkolwiek. Gdy tylko dorastać zaczęła, powstawać w niej zaczęły uczucia przerażenia i boleści, przy każdej myśli o chmurze zła, nad ludzkością zawieszonej, ciężkiej i ciemnej. Z przykrością też niewymowną uczuwała niemoc własną przeciw pracującym w ciałach i duszach ludzkich mocom złym i okrutnym. Są one, te złe moce, różnorodne i nieprzeliczone, ale ponieważ ją zaciekawiały nadewszystko tajemnice i siły przyrody, do niej udała się po te wody lecznicze, któremi człowiek w mierze sił swoich uszczuplać może panowanie nad innymi ludźmi zła fizycznego. Była chwila, gdy znajdowała się o krok jeden tylko od zostania Siostrą miłosierdzia. Oddaliła ją od tego wrodzona jej ciekawość umysłowa: była ciekawą świata i nauki. Nie zaciekawiały jej zabawy i radości świata, lecz jego stosunki, powikłania, cierpienia i ra-

tunki. Poszła więc drogą inną, lecz z tym samym przed sobą celem. Cel życia, z wewnętrznego imperatywu powstały, stanowi prawa, rządzi sumieniem, pobudza do czynności i sił do ich pełnienia dostarcza. Ona tem mniej bez takiego celu obejść się mogła, że wewnętrzny imperatyw jej posiadał energię znaczną. Z natury nie była bierną, a w miarę dojrzewania wzrastał w niej głos sumienia, zapytujący: Po co żyjesz? Czem służysz niebu, ziemi, ludziom, niezmiernemu dziełu Bożemu, którego jesteś cząstką? Czem płacisz za uciechy, które czerpiesz z wolnych oddechów piersi, z wysokich polotów myśli, z błękitu niebios, z zieloności ziemi, z kryształów wodnych, z blasków słonecznych, z dobroci serc ludzkich?

— Z tych ostatnich... najmniej chyba... — po raz pierwszy mowę jej przerwał Czesław.

Bez wahania odpowiedziała:

— To prawda; złości w sercach ludzkich więcej jest, niż dobroci... Złość jest chorobą duszy...

Dusze, tak samo jak ciała, bywają chore od urodzenia, albo od różnych przypadków życia. Utrzymywanie w zdrowiu dusz ludzkich i ich leczenie jest zadaniem trudniejszem, niż czynienie tego względem ciał. Ale każdy czynić może to tylko, co może, ona może czynić to tylko, ku czemu pociągnęły ją wrodzone zdolności i chęci. Zresztą, lecząc ciała, można czynić wiele i dla uzdrawiania dusz. We wszystkiem tem nic zupełnie osobliwego niema. Kobiet, oddających się temu samemu, co ona, zawodowi, jest na świecie i w tym kraju niemało. Nie wynalazła osi Archimedesowej i świata z posad nie wyrzuca. Jak wszyscy na świecie ludzie, z wyjątkiem fizycznych albo

moralnych kalek, pracuje jak może i umie. Historya zupełnie pospolita.

Szli ciągle ścieżką, z której stron obu rosły drzewa, krzewy, kwiaty, szczebiotały ptaki, słońce we wszystkie strony rozsiewało złote strzały, ale nie patrzyli na nic i nie widzieli nic. On szedł z opuszczonemi na oczy powiekami i wyrazem skupionej myśli na wysokiem czole; ona błyszczącemi oczyma patrzała w dal... w dal...

— Więc pani zawód swój pojmuje, jako imperatyw, nakazujący przynosić ulgę cierpieniom ludzkim i zmniejszać chmurę zła, zawieszoną nad ludźmi?...

Zwróciła ku niemu oczy, w tej chwili przejrzyste jak kryształ, świecące w głębi źrenic iskrą gorącą.

— Czyż może być inaczej?

— Prawie zawsze bywa inaczej.

Tak, to prawda; często bywa inaczej, bo dusze ludzkie, tak samo jak ciała, często bywają chore. On, lepiej zapewne od niej znając świat, prędzej sobie o tem przypomniał.

— Aby przypomnieć sobie o tem, potrzebowałem tylko spojrzeć w samego siebie...

Długo tym razem na niego patrzała i odgadła, że ma obok siebie duszę ciężko chorą.

Zdradziło to bolesne drgnięcie powiek i warg, posępność utkwionego w ziemię wzroku.

Po czole jej przebiegło także drgnienie bólu. Jak zwierciadło przedmioty otaczające, tak dusza jej odbijała w sobie szybko i wiernie cierpienia innych.

Ale on opanował się prędko i z ożywieniem mówić zaczął, że przecież nauka, bez względu na jakikolwiek praktyczny pożytek, sama przez się wytwarzać może dla

człowieka wysoki cel życia. W samem przebieganiu myślą jej obszarów, w samem rozpoznawaniu jej tajemnic, w samem wpatrywaniu się w oblicze jej niezgłębione i mnóstwem świateł jaśniejące, mieszczą się takie zadowolenia i radości, które same przez się, bez względów i zastosowań postronnych, mogą być tem jabłkiem złotem z ogrodu Hesperyd, tym cudem z pomiędzy wszystkich cudów świata najcudniejszym i najrzadszym, którym jest — szczęście.

Nie zaprzeczyła temu. Owszem, nauka sama przez się może wytwarzać szczęście, szczęście wysokiego nawet rzędu, lecz tylko dla tych, którzy się jej oddają. Że szczęścia tego spływają wprawdzie krople i na innych. Odkrycie gwiazdy, nieobliczoną przestrzenią rozdzielonej z globem ziemskim, wynalezienie w powietrzu niedostrzeżonego dotychczas pierwiastku, spostrzeżenie włoska, który wyrasta na ciele drobnego owadka lub grzybka, wpadając w cały system odkryć i wynalazków naukowych, przyczynia się do rozpalania nad światem lampy wiedzy, która byt świata oświeca i ulepsza. Lecz staje się to pośrednio, bardzo nieznacznie i pomimo woli odkrywcy, który o tem nie myślał i ku temu nie dążył. Są zaś natury, które nie mogą nie myśleć o tem i nie dążyć do tego, aby szczęście, które niewątpliwie czerpią z podnoszenia samych siebie ku szczytom wiedzy i myśli, zdrojem jak najobfitszym rozlewało się dokoła. Nie są to natury od tamtych niższe, ani wyższe. Są takiemi, jakiemi są może dlatego, że przeważa w nich nad umysłowym pierwiastkiem uczuciowy. Myśl budzi się w nich nieraz z mocą wielką, lecz znajdując uczucie już przebudzone, wpływowi jego się poddaje. Taką właśnie jest jej

natura. Kocha naukę; praca nad nią dała jej wiele uciech wysokich i silnych. Pomimo to, gdyby wiedziała, że ze zdobycia przez nią nauki nie wypłynie dla nikogo i dla niczego ani pożytek, ani ratunek, ani ulga, to zamiast sztuki lekarskiej usiłowałaby posiąść kucharską, aby przez dobre przyrządzanie strawy ustrzedz od szwanków zdrowie i od trosk spokój kilku choćby osób.

Przy ostatnich słowach uśmiechała się wesoło; zaśmiał się też i Czesław.

— Patrząc na panią i, słuchając pani, niepodobna nie zaśmiać się z przypuszczenia... o sztuce kucharskiej!

Potem dodał:

— To, co panią rządzi, co jest najgłębszym i najsilniejszym imperatywem pani, nazywa się altruizmem, do granic najdalszych posuniętym altruizmem...

— To prawda; taką jest nazwa ta w języku naukowym. Po codziennemu nazywa się to litością nad ludźmi, a po chrześcijańsku miłością bliźniego. Imiona te mam w rozumie, sumieniu i sercu...

— W sercu kobiecem...

— Więc?...

— Umiejącem słodyczą przepajać rzeczy gorzkie i rzeczom ciężkim przypinać skrzydła.

Zmieszała się bardzo i w zmieszaniu poczęła wkładać na włosy kapelusz słomiany, opasany obłokiem białego muślinu. Las przerzedzał się w tem miejscu i słońce poczynało rozpalać im głowy; on jednak nie okrywając swojej, szedł z czołem jasnem od pozłoty słonecznej i może od zachwycenia.

Po chwili Janina, wahając się, łagodnie zapytała:

— A pan?

Powiedziała mu o sobie wiele; pragnęłaby dowiedzieć się nawzajem, co przez te lata długie czynił, czego doświadczał...

Po krótkim namyśle opowiadać zaczął:

— W książce jakiejś znalazłem aforyzm, który pozostał mi w pamięci: „Można, pracując wiele, uczynić mało i, kochając wiele, nigdy nie kochać dobrze". Czy zgadza się pani z myślą, w aforyzmie tym zamkniętą?

Nie odpowiedziała nic, a on mówił dalej, że pracował wiele, pracował nawet ciężko, ale uczynił mało, że kochał wiele rzeczy i ludzi, ale nigdy nie kochał dobrze. Przyczyną tego było zapewne własne usposobienie jego i różne zbiegi okoliczności, a skutek taki, że, rozpoznawszy smutną o sobie prawdę, wpadł w rozterkę myśli i w rozterkę uczuć. Pierwsza mogłaby jeszcze powrócić do harmonii, ale drugiej niepodobna już zestroić.

Mówił spokojnie i z cicha; przy końcu uczynił ręką gest, oznaczający, że wszystko zginęło.

Janina pytająco wymówiła:

— Niepodobna?

— Niepodobna — powtórzył takim głosem, który zaprzeczeniom i dalszym pytaniom zapobiega; potem, chcąc przerwać bieg tej rozmowy, czy własnych swych myśli, rozejrzał się dokoła i zawołał:

— Dotarliśmy do pola! Za chwilę znajdziemy się w królestwie kalin!

Ścieżka, którą postępowali, przybiegała do pola i już widać je było z za drzew przerzedzonych, z za firanki listowia, przepojonego słonecznem złotem.

— Byłem już tu nieraz. A pani?

— Znam to miejsce.

— Czy pani wiedziała, że ku niemu idziemy?

— Wcale nie.

— Ja również.

Spojrzał na zegarek, potem na nią.

— Niech pani zgadnie, ile czasu trwała podróż nasza?

— Dziesięć, piętnaście minut.

— Ja powiedziałbym: mgnienie oka! Trwała godzinę.

Spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się oboje; uśmiechnęły się nietylko usta ich, ale i oczy, a przez oczy serca, tajemną uciechą oblane.

I pozostała za nimi przepojona złotem firanka liści; i rozpostarła się przed nimi równina gładka, szeroka, po której, w powiewach łagodnego wiatru, płynęły i płynęły fale powolne niedojrzałych zbóż. Nad zielonem tem jeziorem drzemały, czy dumały ciemne grusze polne, a z pośrodka gorących błękitów nieba przyświecało mu słońce nieskazitelnie złote.

Przyświecało także królestwu kalin.

Tuż pod ścianą lasu był wąwóz nie głęboki, ze strumykiem, biegnącym po dnie kamienistem, wśród krzewów, które, okrywając urwiska wąwozu, wylewały się przez jego brzegi, jak wino z kruży, albo kwiaty z kosza. Berberysy kwitły tam żółto, dzikie róże różowo, lecz nad wszystkiem panowała świetna białość kalinowego kwiatu. Zdala można go było wziąć za płaty świeżo spadłego śniegu. Śniegiem tym ucentkowane krzaki kalinowe wybiegały z wąwozu i stawały u skrajów zielonego jeziora, którego fale w połyskach srebrnych i zapachach zbożowych przybiegały im do kolan...

Janina, spokojnymi ruchami rozgarniając przed sobą gałęzie krzewów, zstępować zaczęła w dół wąwozu. Czesław pozostał nad jego brzegiem i szerokiem spojrzeniem rozejrzał się dokoła.

A gdy tak rozglądał się po niebie i ziemi, pierś jego, i oczy, i usta zdawały się z rozkoszą niezmierną, czy niewysłowioną ulgą pić błękit nieba, zieleń zbóż, swobodę przestrzeni, przeczystą wonność pola i przeczystą, łagodną gracyę ruchów zstępującej w kwiatową otchłań kobiety.

IV.

Dzień ten zbliżył ich z sobą.

Dość długo jeszcze nie szukali sposobności spotykania się, a Czesław nawet zdawał się niekiedy ich unikać, lecz wynikały one same przez się, z przebywania w jednym domu, z podobieństw umysłowych, które ich łączyły, z wypadków codziennego życia zwykłych i koniecznych.

Niekiedy Czesław na długie godziny znikał z domu lub na całe prawie dnie zamykał się w swoim pokoju, tłómacząc się przed bratem pracą, którą tu musiał wykonać koniecznie. Że praca ta trudna była i z dotkliwem jakiemś udręczeniem połączona, domowi odgadnąć mogli, gdy nakoniec odrywał się od niej, po zmęczeniu twarzy jego i goryczy mowy.

Lecz i takie dnie zdarzać się zaczęły, w których, po odjeździe od drzwi oficyny ostatniego z wozów, pukał do nizkiego okna pracowni Janiny.

— Kto tam? — odzywał się z wnętrza wesoły głos kobiecy.

— Pustelnik! — pokornie za oknem odpowiadał głos męski.

— A czego pustelnik chce?

— Pustelnicy!

Było to przypomnienie jednej z gier dziecinnych, której niegdyś oddawali się ze wspólną wesołością i pustotą.

Coraz częściej zresztą wspólne wspomnienia, z lat dziecinnych i młodzieńczych otaczały ich kołem wesołem lub tęsknem. Imiona istot kochanych niegdyś, a utraconych przez śmierć lub oddalenie, imiona miejsc znanych i lubionych niegdyś, a dla nich na zawsze zginionych, wszystko, co za jeziorem upłynionego czasu pozostało, a niegdyś było im wspólnem i miłem, wydawało z siebie tę melancholię, którą przemijalność rzeczy i ludzi napełnia serce każde, już dotykane ostrzami strat i doświadczeń. I każde serce w oddechu tej melancholii taje, pokornieje, czyni się tkliwszem i lepszem.

Ale w zamian, czy z kolei, były też wspólne im niegdyś uciechy, zabawy, swawole, nadzieje, które brały ich w koło wspomnień różowych, oczom i ustom przywracając dawną, różową wesołość.

Coraz też częściej uczuwali to zadowolenie spokojne i szlachetne, którego ludziom nawykłym do przebywania myślą w strefach wysokich dostarcza lot dwóch myśli, choć różny, lecz równy i wspólny.

U skraju kwiecistej łąki leśnej, w pobliżu samotnej pary, którą składały świerk zamyślony i srebrnie szemrząca osika, siedzieli we dwoje na obalonej niedawno przez wicher kłodzie sosnowej. Miewają czasem lasy takie miejsca odpoczynków, mchem zasłane, ze sprężystemi oparciami z gałęzi, z kobiercami dla stóp, pełnymi wzorzystych haftów.

Janina wydawała się dnia tego trochę zmienioną.

Na twarzy jej delikatnej i wrażliwej każdy moment przeżyty odbijał się przez czas pewien śladami, naturze swej odpowiednimi. Czesław dostrzegł na skroniach jej wyraźniejszy, niż zwykle, rysunek błękitny i pewne zmęczenie czoła nad oczyma zasmuconemi. Krótkiem, ale głębokiem spojrzeniem zajrzał w te smutne oczy i z prośbą w głosie zapytał:

— Co się stało?

Nie wymienił tego, co odgadł, lecz ona wzajemnie odgadła, o co ją zapytywał. Odgadł jej smutek i prosił, aby powiedziała mu jego przyczynę. Uczyniła to chętnie.

Doznała dziś smutnego, poniekąd nawet wstrząsającego, wzruszenia. Nie dość jeszcze oswoiła się z ciemnemi stronami swego zawodu. Najciemniejszą z tych stron jest uczucie niemocy własnej, niemocy nauki, niemocy wogóle ludzkiej przeciw tej sile fatalnej, którą jest śmierć.

Zadaje ta siła nieodzowna i niezłomna ciężkie ciosy sercom i za każdym ciosem o jedną cyfrę umniejsza sumę życia. Rany serc czas goi najczęściej, a suma życia nie zna uszczerbków i dopełnienie swe znajduje w samej śmierci, wie ona o tem dobrze; pomimo to nie może zobojętnieć dla straszliwego dramatu, ani oswoić oczu z nieubłaganem obliczem tajemnicy. Oblicze to zaś, ogółowi ludzi zjawiając się kiedy niekiedy tylko, staje codziennie niemal przed oczyma tych, którzy naprzeciw niemu idą z walką. Nieszczęsną bywa ta walka często...

Dziś, w jej pracowni, przed samemi jej oczyma umarło dziecko, które leczyła od dość już dawna. Choroba była nieuleczalna, lecz wierzyć w to nie chciała przepadająca za biednem stworzeniem tem matka. Więc przywiozła je dziś do niej konającem, nie wiedząc, czy wie-

— A czego pustelnik chce?

— Pustelnicy!

Było to przypomnienie jednej z gier dziecinnych, której niegdyś oddawali się ze wspólną wesołością i pustotą.

Coraz częściej zresztą wspólne wspomnienia z lat dziecinnych i młodzieńczych otaczały ich kołem wesołem lub tęsknem. Imiona istot kochanych niegdyś, a utraconych przez śmierć lub oddalenie, imiona miejsc znanych i lubionych niegdyś, a dla nich na zawsze zginionych, wszystko, co za jeziorem upłynionego czasu pozostało, a niegdyś było im wspólnem i miłem, wydawało z siebie tę melancholię, którą przemijalność rzeczy i ludzi napełnia serce każde, już dotykane ostrzami strat i doświadczeń. I każde serce w oddechu tej melancholii taje, pokornieje, czyni się tkliwszem i lepszem.

Ale w zamian, czy z kolei, były też wspólne im niegdyś uciechy, zabawy, swawole, nadzieje, które brały ich w koło wspomnień różowych, oczom i ustom przywracając dawną, różową wesołość.

Coraz też częściej uczuwali to zadowolenie spokojne i szlachetne, którego ludziom nawykłym do przebywania myślą w strefach wysokich dostarcza lot dwóch myśli, choć różny, lecz równy i wspólny.

U skraju kwiecistej łąki leśnej, w pobliżu samotnej pary, którą składały świerk zamyślony i srebrnie szemrząca osika, siedzieli we dwoje na obalonej niedawno przez wicher kłodzie sosnowej. Miewają czasem lasy takie miejsca odpoczynków, mchem zasłane, ze sprężystemi oparciami z gałęzi, z kobiercami dla stóp, pełnymi wzorzystych haftów.

Janina wydawała się dnia tego trochę zmienioną.

Na twarzy jej delikatnej i wrażliwej każdy moment przeżyty odbijał się przez czas pewien śladami, naturze swej odpowiednimi. Czesław dostrzegł na skroniach jej wyraźniejszy, niż zwykle, rysunek błękitny i pewne zmęczenie czoła nad oczyma zasmuconemi. Krótkiem, ale głębokiem spojrzeniem zajrzał w te smutne oczy i z prośbą w głosie zapytał:

— Co się stało?

Nie wymienił tego, co odgadł, lecz ona wzajemnie odgadła, o co ją zapytywał. Odgadł jej smutek i prosił, aby powiedziała mu jego przyczynę. Uczyniła to chętnie.

Doznała dziś smutnego, poniekąd nawet wstrząsającego, wzruszenia. Nie dość jeszcze oswoiła się z ciemnemi stronami swego zawodu. Najciemniejszą z tych stron jest uczucie niemocy własnej, niemocy nauki, niemocy wogóle ludzkiej przeciw tej sile fatalnej, którą jest śmierć.

Zadaje ta siła nieodzowna i niezłomna ciężkie ciosy sercom i za każdym ciosem o jedną cyfrę umniejsza sumę życia. Rany serc czas goi najczęściej, a suma życia nie zna uszczerbków i dopełnienie swe znajduje w samej śmierci, wie ona o tem dobrze; pomimo to nie może zobojętnieć dla straszliwego dramatu, ani oswoić oczu z nieubłaganem obliczem tajemnicy. Oblicze to zaś, ogółowi ludzi zjawiając się kiedy niekiedy tylko, staje codziennie niemal przed oczyma tych, którzy naprzeciw niemu idą z walką. Nieszczęsną bywa ta walka często...

Dziś, w jej pracowni, przed samemi jej oczyma umarło dziecko, które leczyła od dość już dawna. Choroba była nieuleczalna, lecz wierzyć w to nie chciała przepadająca za biednem stworzeniem tem matka. Więc przywiozła je dziś do niej konającem, nie wiedząc, czy wie-

dzieć nie chcąc, że kona. Kobieta nieoświecona, prosta, lecz z gorącem uczuciem macierzyńskiem w piersi; dziecko skazane na śmierć, lecz mające takie miłe uśmieszki na ustach i w ostatniej chwili jeszcze rączynami czepiające się sukni matczynej, jak opoki...

Cóż, skoro dla przedłużenia tego życia trzebaby chyba cudu! A niema na ziemi istot dość czystych, dość świętych, dość z niebem związanych, aby mocne były z łoża śmierci podnosić i matkom przywracać umarłe dzieweczki! Niema na ziemi cudów!

Skargi tej Czesław słuchał z zamyśleniem i obudziła się w nim chęć nagląca ukojenia, pocieszenia ust, które ją wypowiadały. Zarazem trzeźwemu umysłowi jego pamięć nasunęła cuda, nad którymi rozmyślał często i które budziły w nim podziw ze czcią.

— Niech pani nie mówi, że na ziemi niema cudów. W ustach pani to bluźnierstwo przeciw prawdzie świata. Prawda świata ma swoje niepoznawalne otchłanie, lecz ma także i swoje szczyty, przejasne dla tych, którym starczy siły do ich wyszukania i objęcia wzrokiem. Świat jest pełen cudów, których nie spostrzegamy dlatego tylko, że rządzą nimi prawa stałe i że oswoiły się z nimi nasze oczy i myśli.

Największym z cudów świata jest człowiek, a w człowieku cud nad cudami, to jego rozum.

Rozum człowieka, to nić elastyczna, z rozciągliwością, która wszelkie pomiary prześciga i przestanków nie zna. Czas rozciąga ją w dłużynę coraz dalszą i której kresu przewidzieć, ani dostrzedz niepodobna. Jest to światełko, zrazu drobne, które w ciągu czasu rozpala się w słońce, zdolne do prześwietlania nawskroś ogromów

niezmiernych; a jakie ogromy, jakie ciemnice, jakie tajemnice prześwietli w przyszłości, odgadnąć, czy przepowiedzieć nie potrafi nikt.

Ilość poznania, stworzonego przez rozum człowieka, znajduje się poza kresem obliczeń matematycznych i żadna geometrya nie przemierzy przestrzeni, które on na poziomach wysokich i nizkich przebiegł i władztwu swemu poddał.

Rozum człowieka poddaje naturę poznaniu i władztwu swemu, upiększa planetę, ulepsza stan powstałych na nich bytów. Sam cudem nad cudami będąc, tworzy cuda, których zbiorowem imieniem: cywilizacya.

Mnóstwo odkryć, wynalazków, urządzeń, które przynoszą dosyt i rozkosz zmysłom człowieka, potrzebom jego najniższym i najwyższego rzędu umysłowym, estetycznym, towarzyskim instynktom czy popędom.

Uwykwintnienie stosunków najpospolitszych, upoetyzowanie potrzeb najpowszedniejszych, sezamy uciech, fontanny bijące winem i kwiatami...

Tak apoteozował rozum ludzki, a czyniąc to, składał hołd jedynemu prawie dotąd przedmiotowi swojego uwielbienia i swoich rozmyślań. Nic więc dziwnego, że mowa jego była bogata w wiedzę i zapał, lecz tonów miękkich i wzlotów niekiedy poetycznych nabierała ona od widoku twarzy kobiecej, tuż obok niego pochylonej w zasłuchaniu i skupieniu. Patrzał na czyste linie jej białego profilu i czuł, że spodem myśli jego przebiega ten płomień wzruszenia, który rozgrzewa i w górę podbija myśl.

Ona, z powiekami spuszczonemi i rękoma splecionemi na sukni, słuchała, nie przerywając, i na zmartwione przedtem jej czoło kłaść się zaczęła pogoda cichego

szczęścia. Wszystko prawie, o czem mówił, było jej znane, lecz wstępowało w nią teraz, razem z brzmieniem jego głosu, które lubiła. Miała słuch tkliwy na brzmienia głosów ludzkich, a głos Czesława, przez słuch dostając się do jej wnętrza, budził w niem wzruszenie, sączące z siebie słodycz. Gdy mówić przestał, podniosła twarz i zaczęła nie zaprzeczać myślom i słowom jego, tylko rozszerzać pole, które przed chwilą przebiegły. Człowiek to cud w świecie, ale nie jedyny i rozum człowieka, to cud również, ale w nim nie jedyny.

Cuda poczynają się na ziemi od samych spodów natury i nie są tem mniejsze, czy mniejszy podziw budzące, od tych, które powstają u jej wierzchołków.

Grzybek, unoszący się w powietrzu i dla oka ludzkiego niewidzialny, jest dziecięciem Mocy Twórczej, niemniej cudownym od globu olbrzymiego, który po drogach niezmierzonych przebiega nieskończone przestworze wszechświata. Koral, ukryty w nurtach oceanu, i perła, zamknięta w muszli, równe są w cudowności żołędzi, mieszczącej w sobie przyszłość potężnego dębu lub skorupkom zaledwie dostrzegalnych istot, z których powstaje góra z wierzchołkiem niebotycznym.

Lecz największym z cudów świata jest sama zaródź życia, samo powstanie tej drobiny ożywionej, z której jednostajnie początek swój biorą na ziemi grzyb i orzeł, kwiat i płaz, kieł zwierzęcia i serce człowieka.

Człowiek jest tylko jednym z tych niezliczonych cudów świata, a serce jego, to w nim, obok rozumu, cud nad cudami.

Serce człowieka, cudem będąc, zawiera w sobie siłę cudotwórczą, bez której współdziałania cuda rozumu są



Ona słuchała, nie przerywając.

obosieczne i po stronie jednej zbawienie mają, a po drugiej zgubę. Są one również bez tego współdziałania dwulicowe i, jak pogański Janus, oznajmiające światu ery mleczne i miodowe, albo ery krwawe.

Cudotwórcza moc serca koi bóle, zażegnywa klęski, nasyca duchowe głody, rozlewa po ziemi słodycz i bohatersko broni prawdy; silne pomoce też niesie pięknu: pięknu duszy, pięknu życia i pięknu sztuki.

W życiu człowieka i w życiu ludzkości nieszczęsnym jest moment pozbawiony dobroci, odwagi, poświęcenia, współczucia, wszystkich pierwiastków, czynników, pobudek, którym mowa ludzka daje metaforyczną nazwę serca.

Dzieła cudotwórczej mocy serca znajdują się poza kresem obliczeń więcej jeszcze, niż dzieła rozumu, bo więcej, niż one, umykają oczom ludzkim i ludzkiej wiedzy. Jednak są i takie, które dzieje ludzkości zawracają na tory nowe i dają imię swoje ich erom. Są również takie, przed któremi rozum staje w podziwieniu, szepcąc: „Tajemnica!" i nie mogąc całą swą mocą cudotwórczą prześwietlić cudu tajemnicy.

Dziwne jest słońce, dziwny jest kwiat, dziwne natchnienie, z którego powstaje sztuka, i dziwny lot myśli ku prawdzie, lecz najdziwniejszy ze wszech dziwów świata to serce człowieka, które kocha, przez ukochanie cierpi, a przecież w ukochaniu trwa.

Tak sławiąc cuda natury i cuda serca człowieka, składała hołd nietylko przedmiotom swego uwielbienia i swoich rozmyślań, ale jeszcze i źródłu jedynemu, z którego czyste i górne radości spływały na czystą i górną jej młodość.

Czesław słuchał, nie przerywając. Wszystko, co mó-

wiła, było mu znane, lecz myślał o tem rzadko, lub nie myślał nigdy. Męska trzeźwość umysłu, natura zajęć, którym się oddawał, i natura stosunków, wśród których się obracał, nie dopuszczały mu wzroku do horyzontów, na których ona wzrok swój zatrzymywała najczęściej lub trzymała stale, i teraz było mu tak, jakby od tej rozmowy z nią czyniło się jego wzrokowi przestronniej i widniej.

Czuł, że stawał się nad nim akt dopełniania. Czuł, że myśl czyjaś podbija skrzydła jego myśli, aby zakreślała koła wyższe nad poziom materyi, jej dziwów i jej interesów. A obok tego i razem z tem czuł, że przenika go słodycz tajemna i niewysłowiona.

Nic z tego, o czem mówiła, nie utracając, ścigał wzrokiem grę jej rysów, a potem, gdy dłonią zakrył oczy, stały mu pod powiekami usta do płatków róży podobne i oczy pod czołem dziewiczem świecące ciepłym, głębokim szafirem.

Po raz pierwszy w życiu zrozumiał, jaką podniosłość i jaką pełnię szczęścia przynosić może dwoiste kochanie: ciałem i duchem, że jest ono również cudem świata i że stokroć wydziedziczonymi są ci, dla których cud ten stać się nie może.

Odjął dłoń od oczu.

— A jednak słusznie mówiła pani, że — cudów niema!

Smutnie ręce na suknię opuszczając, odpowiedziała:

— Niema ich dla dzieciątek odumierających matki!

A on, jak echo, rzekł:

— Niema ich dla losów ludzkich na zawsze złamanych...

Wtedy ona żywym ruchem twarz ku niemu zwróciła, a wargi jej drgnęły cichem pytaniem:

— Na zawsze? Dlaczego na zawsze?

Ale on wstał i, rozglądając się dokoła, począł wychwalać piękność i zaciszność miejsca, w którem się znajdowali. Chciał, aby zdjęła z niego wzrok swych pytających oczu.

— Obejdźmy dokoła łąkę! pójdźmy pomiędzy brzozy, które, jak mówi Jerzy, zapraszają brodatego patryarchę do tańca po dywanie haftowanym w bratki! Co za bogactwo linii i jaka przezroczystość rysunku! Jaka gra świateł słonecznych, rozbijających się o ruchome przeszkody liści. I jaka cisza, a razem jaki w powietrzu gwar szmerów, kolorów, zapachów!

Okrążali łąkę, idąc pod, albo pomiędzy drzewami, ukazując sobie nawzajem grę świateł, grę różnych zieloności, grę barw kwiatowych, grę motyli nad kwiatami. Natura prosta, ale kochana, wzięła ich w nurty swe, złożone z mnóstwa kropel życia, które świeciły, rozkwitały, płonęły, z mnóstwa cudów, które dla mnóstwa oczu mogły być obojętne, lecz w których kochały się i z rozkoszą zanurzały się ich oczy. W nurtach tych smutki czy niepokoje, jakimikolwiek być mogły, opuściły się na dno, a na powierzchnię wypłynęła wesołość serdeczna, poufała i mowna. Była to też wesołość gorączkowa nieco, taka, która oczy rozjaśnia radością, usta rozwiera uśmiechami i śmiechem, lecz w głębi drży niepokojem czy bólem...

Wrócili do domu tem więcej rozweseleni, że bardzo spóźnili się na obiad.

To dzisiejsze spóźnienie się ich z powrotem do domu

obudziło w Jerzym i Krystynie dobrą nadzieję, którą od czasu pewnego już byli powzięli, nic o niej sobie nawzajem nie mówiąc. Teraz, znalazłszy się sam na sam, zamienili pomiędzy sobą krótkie ciche słowa:

— Czy uważasz?

— Z radością...

— Ja również cieszę się, chociaż jeszcze... wątpię...

— Nic niema pewnego na świecie, ale...

— Nie przebywałby tu tak długo... Za kilka dni kończy się czas uwolnienia go od zajęć obowiązkowych, więc wysłał już prośbę o oddalenie terminu...

— Ach, jak to dobrze. Zawsze myślałam, że oni stworzeni są dla siebie! Pamiętasz, Jurku, tę bajkę o dwóch połowach duszy na świat rzuconych i które wzajem szukają się po świecie?

Jerzy po męsku brał bajkę za bajkę, lecz myślał o czem innem.

— Ona go nam przywróci! Zdolności jego, praca, serce jego do nas powrócą... przez nią...

— Nietylko ona — z zamyśleniem rzekła Krysia. — Zdaje mi się, że przyjechał tu dlatego właśnie, że sercem już do nas powrócił...

Mały Jurek wpadł do pokoju i Ewcia przybiegła, wołając:

— Już idą, idą! Wracają!

Było potem wiele śmiechu, pustego mówienia, opowiadań o rzeczach opowiadania nie godnych, bo są w życiu takie dnie świąteczne, których tajemna radość wyzłaca i wypełnia szare i błahe dla dni powszednich wydarzenia i wrażenia.

Trwało tak aż do wieczerzy, którą Dębsia przyniosła na ganek z bardzo widocznie zapłakanemi oczyma. W domu tym czyjekolwiek zapłakane oczy były zdarzeniem zwracającem uwagę, budzącem współczucie. Wszyscy więc zauważyli, że nawet majestatyczny chód starej sługi spokorniał od przygarbionych pleców i że szeroką twarz jej okryły plamy niezdrowych rumieńców. Gdy tylko oddaliła się, Jerzy opowiadać zaczął o jej ciężkiem zmartwieniu. Ma złego syna i dziś właśnie dowiedziała się o popełnionym przez niego występku, który, nie będąc właściwie zbrodnią, kładł plamę szpetną na czci człowieka i całej przyszłości jego zagrażał niedolą. Jest to dla niej cios wielki, bo kocha syna pomimo wszystko i pomimo wszystko nie jest on pozbawiony dobrych zalet. Rzecz to przedziwna, jak często ludzie bywają dwoiści i noszą w sobie z jednej strony piękne światła, a z drugiej — grube ciemności. Bywają tacy, którym trzeba tylko dopomódz, aby zwyciężyły światła, i to właśnie Jerzy uczynić zamierza względem syna starej i zacnej sługi ich rodziny. Bezpośrednim następstwom czynu jego zapobieży, bo ma odpowiednią ku temu możność, a potem weźmie go pod swoją wyłączną zwierzchność i opiekę. Winien to jego matce i jego, bądź co bądź, ludzkiej duszy, która, jak mu się zdaje, może jeszcze stać się silniejszą przeciw złemu. Człowiek ten jest stróżem leśnym, ale mieszkał dotychczas w oddalonej stąd części lasu; teraz Jerzy umieści go jak najbliżej siebie, pod codziennym wpływem swoim i Krysi, która najpewniej nie odmówi mu w tem swej pomocy.

Z prostotą i wyrazem szczęścia w oczach Krysia odpowiedziała:

— O tak, Jurku! Z całego serca dopomagać ci w tem będę!

Czesław zaś ze skupioną uwagą patrzał na brata i, oczu z niego nie spuszczając, z chwiejnymi tonami w głosie rzekł:

— Więc ludzie nieskazitelnie czyści mogą mieć dla win ludzkich przebaczenie?

Jerzy odpowiedział, że nikt z ludzi nieskazitelnie czystym od win i błędów być nie może, że wspólność błędów — to jedno z najtwardszych ogniw w łańcuchu ludzkiego braterstwa, i że dlatego człowiek żaden nie posiada nad człowiekiem innym prawa potępienia. Zło samo niech będzie przedmiotem odrazy i potępienia, lecz biednego robaka ziemskiego, który ulega tej sile fatalnej...

Czesław z oczyma rozbłysłemi przerwał:

— Czy o wszelkich, wszelkiego rodzaju winach to samo powiedzieć możesz?

Jerzy po chwili zastanowienia wyznał, że istnieją pewne kategorye występków, które budzą w nim odrazę szczególną, i że z tą odrazą z trudnością walczyć musi, aby nakoniec ulitować się nad winowajcami.

Rozmowa toczyła się przez chwilę o rozmaitych rodzajach ludzkich win i błędów, aż Krysia, w postawie zamyślonej, z niezmiernie rzadką u niej surowością, przemówiła:

— Są winy, których przebaczać nie wolno, bo zadają krzywdę nie nam i nie jednostkom, lecz idei...

Jerzy z przyjacielskiem porozumieniem skinął ku żonie głową.

— Masz słuszność — rzekł — idea nie udziela nikomu pełnomocnictwa do przebaczania zadawanych jej krzywd.

Po tym sarkazmie, twardszym dlatego, że wypowiedział go człowiek łagodny z natury i zasady, zapanowało milczenie. W atmosferze dała się uczuć przymieszka niepokoju. Niewiedzieć z czego powstał niepokój i napozór nie objawiał się niczem, ale był i uczuli go ludzie, siedzący dokoła stołu rodzinnego, na ganku, oblanym księżycowem światłem. Bo księżyc przed chwilą wypłynął z za lasu, który w świetle jego przybrał pozór ogrodów tajemniczych, mających głębie przepaściste i wiejących ciszę, skąpaną w rosnej świeżości.

Wśród zmroku, posrebrzonego światłem księżycowem, i wśród milczenia, przejętego niepokojem tajemnym, ozwał się głos Janiny przyciszony i zaprawiony słodyczą niewymowną:

— Wina, której dobre nawet serca ludzkie przebaczyć nie mogą, to największe na świecie nieszczęście, a w wielkiem nieszczęściu leżeć musi moc odkupienia. Temu, kto bardzo cierpi, nawet tego rodzaju winę przebaczyć wolno...

— Tylko — przerwał Jerzy — tylko pozwól mi postawić znak zapytania przed cierpieniem winowajców! Wina ich jest niewątpliwie nieszczęściem, ale czy oni czują swe nieszczęście?

— Przypuszczam, że są tacy — odpowiedział Czesław.

I nikt już nic więcej nie powiedział. Wszyscy uczuli lęk przed dłuższem tego przedmiotu dotykaniem. Niewiedzieć skąd lęk ten powstał, ale był.

Bywają czasem takie cienie, kładnące się na dusze ludzkie od rzeczy niewiadomych, czających się w dalekościach czasu lub miejsca, i niepokoją się w nich dusze ludzkie, jak w niewyraźnych snach.

Potem była taka krótka chwila, w której Janina i Czesław znaleźli się na schodach ganku, sam na sam.

Ona w pełni księżycowego światła, w jasnych muślinach i z białą swą twarzą, wydawała się cała srebrną. On, przeciwnie, w tem świetle nawet wydawał się ciemnym, tak ciężka chmura przyoblekła mu rysy. W ziemię patrząc, z pochyloną głową, rzekł:

— Przez usta pani ozwał się przed chwilą anioł bezgranicznego miłosierdzia. Lecz są otchłanie, których nie znają wzroki anielskie, i są na dnie ich cierpienia piekielne, z których przecież kwiat odkupienia wyrastać nie może...

Jak szafirowe gwiazdy, podniosły się ku niemu jej oczy i miękkim szeptem zapytała:

— Dlaczego nie może?

Ale on nie odpowiedział i tylko pochylony przed nią nizko, do ręki jej tak długo przyciskał gorące usta, że, srebrzystością niebieską oblana, stanęła cała w ziemskich płomieniach.

V.

Dzień ten sprawił, że stali się sobie tak potrzebnymi, jak potrzebny jest ludziom zmysł wzroku. Ślepiec długo żyć może, lecz każda godzina życia przynosi mu udręczenie tęsknoty za widokiem światła. Żyje, ale dusza jego, tak samo jak oczy, nurza się w ciemności.

Oni, ilekroć znikali sobie z oczu, stawali się ślepcami i nurzały się w ciemności ich dusze i oczy.

Obojętni dla tego, co bywało im przedtem radością większą lub mniejszą, nie doznawali żadnej, ilekroć z siebie nawzajem czerpać jej nie mogli.

Ilekroć rozłączali się, na serca ich występowała kropla czerwona, w której rozkładały się i znikały ich porywy ku życiu. Był to rubin tęsknoty, który z serc ich wywabiał wszelki spokój, wszelką słodycz i samą nawet chęć życia.

Więc unikali tych udręczeń, wiedzeni tym samym instynktem, który pomimowolnym odruchem ciała uchyla człowieka od narzędzi, zadających ciosy i rany. Bywali często razem we dwoje, z Jerzym, z Krystyną, z dziećmi, lecz sam na sam, czy pomiędzy ludźmi, ilekroć znajdowali się razem, radość oblewała im twarze i serca.

Bywały dnie, w których zamieniali pomiędzy sobą zaledwie kilka słów, i takie, w których rozmawiali ze sobą bez końca, lecz nie było takiego, w którymby z zamienionych spojrzeń, czy uśmiechów, czy słów, nie zapłonęła w nich iskra wzruszenia.

Raz, w kilka minut po otrzymaniu z poczty dzienników i listów, Czesław zaczął po całym domu szukać brata, wołając go głosem takim, jakby miał mu do oznajmienia wiadomość ciekawą i radosną. Wychylając się z pokoju dziecinnego, Krysia oznajmiła, że kędyś w lesie rozpoczęły się jakieś roboty ważne, Jerzy pojechał dla zarządzenia niemi i wieczorem dopiero powróci. Wieczorem więc dopiero bracia spotkali się w pracowni Jerzego, który, od pierwszego spojrzenia na brata, zawołał wesoło:

— Czyś wypadkiem nie znalazł dziś w państwie mojem Lety? Takiś rozpromieniony i ucieszony!

— Nie dość, że znalazłem Letę, ale długo jeszcze wolno mi pić jej wody!

Otrzymał od zwierzchności swej pozwolenie na długi jeszcze pobyt w tych stronach. Lękał się, że pomimo prośby nie otrzyma, ale...

— Ale mnie odmówić nie mogli!

Zadowolona duma błysnęła mu w uśmiechu warg prawie młodzieńczych. Ozwała się w nim dawna ambicya, ucieszona tem, że wiele znaczył, wiele mógł, wysoko zaszedł. Ale trwało to przez chwilę, po której rzucił się na szyję bratu w taki sposób serdeczny i porywczy, w jaki czynił to często za lat dawnych.

Wróciła pomiędzy nimi dawna poufałość braterska, wróciły Czesławowi dawne gesty, ruchy, sposoby wyra-

żania się, imiona pieszczotliwe, któremi niegdyś nazywał swych blizkich. Do Krysi nie mówił już: pani; Dębsię nazywał Dębsią i w owym dniu otrzymania radosnej wieści okręcił starą sługę po bawialnym pokoju tempem walcowem. Krysia grała na fortepianie walca; zdyszana Dębsia zanosiła się od śmiechu. Janina wołała: brawo! i stara matka, w swojej wiecznie czarnej sukni, wychyliła się ze swego pokoju, aby zobaczyć, co tak wesołego dzieje się w domu. On ją, tak jak wszyscy w domu, od czasu pewnego nazywać zaczął matusią i czasem, wieczorami, kobiecie tej od lat i cierpień zwiędłej, opowiadał tyle rzeczy zajmujących, czy zabawnych, że kładła się do snu zdrowszą, z uśmiechem na rozweselonych ustach.

Rozkwitał. W ciepłej i czystej atmosferze tego domu, jak kwiat w słońcu rozwija płatki, rozwijał przymioty, których dawniej zdawał się nie posiadać. Stłumione po części ambicyą namiętną, a po części wytężoną pracą naukową i fachową, wybijały się w nim teraz na swobodę i bujnie wzrastały: dobroć, czułość, łatwa wesołość, przywiązanie do blizkich rzeczy i ludzi. Obudziło się i wzrastało w nim to, co nazwać można przyjaźnią człowieka dla otaczającego świata: pełno dobrych życzeń i pełno chęci do oddawania dobrych przysług.

Ale i w Jerzym zachodzić poczęły zmiany duże. Miał on w swem życiu wiele uciech i pociech, ale też wiele pracy wyczerpującej i tych zmartwień postronnych, które dla organizacyi pewnych trudniejsze są do znoszenia nad zmartwienia osobiste. Przytem niepokoje sumienia prawie nadczułego i monotonia dni powszednich, upływających bez zmysłowych wspólnictw, bez szerokich

horyzontów, bez wrażeń pewnego rzędu, których niedostatek utrudnia oddech każdej piersi ludzkiej, niewystygłej i nieciasnej. Wszystko to było przyczyną, dla której, pomimo rodzinnego szczęścia, przedwcześnie może spracowały się mu barki duszy i ciała.

Teraz, dowiedziawszy się, że pobyt brata w Polance przedłużony zostanie, począł w odzyskanie go mocniej wierzyć i ufniej z nim rozmawiać, począł też ufniej i silniej uczuwać szczęście dzielenia się myślą z człowiekiem, który przewyższał go myślą i wiedzą, a przywiązaniem braterskiem coraz więcej dorównywać mu się zdawał. Marzył o stałem wkrótce osiedleniu się jego kędyś w pobliżu, o częstych z nim swoich stosunkach, o tej dani powinnej, którą złoży on temu, co Jerzy kochał więcej nad niego i nad samego siebie. Wszystko to poczęło go odmładzać, krzepić, rozweselać, poczęły mu się wyprostowywać spracowane barki.

I dnie płynęły. Pogody różne, słoneczne i słotne, roboty różne, domowe i polne, wydarzenia pospolite i nieco rzadsze, przemijały.

W królestwie roślinnem po wiele już razy zmieniły się panujące rody i Janina, z więziami kwiatów dzikich do domu wracając, po wiele już razy zawołaćby mogła: „le roi est mort, vive le roi!“

Oddawna już przekwitł silnie woniejący storczyk biały i zastąpiły go po łąkach, po lasach geranie purpurowe i w biskupie fiolety przybrane epilobie. Cała powódź koronkowych baldaszków rościełała się po trawach i długo nad miedzami wzbijał się żółty wiesiołek, wysoką gromnicą jaśniejąc w ciemnościach nocnych. Lipy przekwitły, powstał i zniknął urodzaj bławatków, kąkoli, powoi. W zaciszach leśnych, tu i owdzie dotykanych już złotem jesiennem, stanęły wysmukłe rózgi złote i nad ścieżkami leśnemi chabry wielkokwiatowe melancholijnie zawieszać poczęły swe bujne głowy o rozczochranym, szafirowym włosie. Wówczas też dawną białość kalinowego kwiatu i rumianość róż dzikich zastąpiła krwista czerwoność jagód, które, osypując krzaki, napełniały wąwóz za lasem, przelewały się przez jego brzegi i zdawały się zgodnie wtórzyć gorącej pieśni królewskiego szkarłatu, który u brzegów pola rozlał się po jarzębinowych drzewach.

Nietylko kolory i kształty, ale także głosy światła zmieniały się i nawzajem się zastępowały. Po zapalczywym świegocie ptactwa na drzewach nastąpiło tłumliwe ćwierkanie świerszczy w trawach; coraz cichszą stawała się w powietrzu muzyka owadów, coraz głośniej rozlegał się nad wysokiemi gwiazdami klekot blizkich odlotu bocianów. Aż zaszemrały tu i owdzie spadające z drzew liście uschłe, przepiękne w śmiertelnej swej krasie i za lasem, za polem, na łąkach dalekich zaśpiewała fujarka pastusza.

Dnia pewnego świetna kawalkada konna, przejeżdżając obok leśnego domu, przed gankiem jego stanęła i gromadka ludzi świetnych, wystrojonych, wesołych napełniła ściany jego gwarem rozmów błyszczących i lekkich. Byli to właściciele lasu tego i ich goście, znajomi Jerzego, znajomi też Janiny, której lekarskich usług niekiedy wzywali i którą zasypywali teraz słowy pełnemi pochwał i pieszczoty. Blask bogactw, tytułów, strojów, wysokie szczyty społeczne, z uprzejmym wdziękiem pochylające się ku społecznym poziomom średnim, budzącym w nich

szacunek i sympatyę. Trwało to godzinę i zostawiło po sobie, oprócz nieładu w rozstawieniu sprzętów, zapach perfum, stłumiony wkrótce zapachem dzikich kwiatów, a gdy wszystko uciszyło się...

Przy otwartem oknie, tem samem, do którego przedtem zaglądały kwiaty jaśminowe, Czesław mówił Janinie o dziwnem, dziwnem zobojętnieniu swem dla blasku, dla zaszczytów, dla wielkości świata, za któremi w młodzieńczych latach swych gonił tak namiętnie, w których widział brylantowemi zgłoskami wypisane słowo zagadki życia.

— Dziwnie, dziwnie długo niekiedy na szalach rozumu ważą się różne skłonności i kierunki życia; dziwnie późno niekiedy z pożarów i mgieł młodości wychodzi na jaw najgłębsza natura człowieka.

Mówili potem o tych wewnętrznych głosach, które w człowieku przemawiają niekiedy gromem nagłym, a niekiedy szmerem długo niesłyszanym, niesłuchanym, zagłuszanym przez wichry zewnętrzne. Mówili o zagadkach przeznaczenia ludzkiego na ziemi, o źródłach szczęścia i źródłach niedoli, o skromności życia, prostocie serc, wielkości ideałów, o Bogu... I na tym punkcie ostatnim zatrzymali się długo, ponieważ był to szczyt, nad który wyższego niema dla myśli człowieczej, i tylko jeszcze ze szczytu zobaczyli ziemię jako robotnicę w nieprzejrzanych przestworach wszechświata i duszę człowieka jako robotnicę na ciernistych niwach tej ziemi. Powiedzieli sobie, że nie dowiedzą się nigdy, jaki jest cel ostatni tej służby istot niebieskich i ziemskich, ale że służyć trzeba i że to nakaz, który tkwić musi w głębinach i przeznaczeniach dusz, bo ilekroć wypełnienia nie znajduje,

one więdną i mrą w pustce, w nudzie, w zapóźnej zgryzocie.

Zamieniając zdania ostatnie, pomimowoli zawiesili spojrzenia na niebie, ubranem w pożarne światła zachodu, a gdy opuścili je ku ziemi, w pokoju zmierzchało. W zmierzchu, nie wiedząc dlaczego i kiedy, podali sobie ręce i połączyli je w uścisnieniu długiem, lecz w którem miłosnego wzruszenia nie było. To, co w tej chwili czuli, było tą przyjaźnią spokojną i szlachetną, bez której miłość ani szlachetną, ani trwałą być nie może. Gdy dłonie ich obejmowały się uścisnieniem przyjaźni, zmysły milczały, lecz serca czuły, że przywiązują się wzajem do siebie z mocą tem większą, im rozmaitszej natury były skuwające je ogniwa.

Wkrótce potem zaszedł wypadek, który wstrząsnął pokojem całego domu. Mały Jurek, chłopak czarnooki, ogorzały, wesoły i dobry, z przyczyny pospolitej, bo dopadł kędyś owoców niedojrzałych, zachorował ciężko. Zdanie Janiny o chorobie malca brzmiało dość groźnie, i zażądała ona wezwania na naradę lekarza z Suchej.

— Starszy ode mnie, doświadczeńszy i zresztą... Jurek, to dziecko tak blizkie mi i kochane, że lękam się własnych omyłek...

Mówiła to Czesławowi, gdy, przechodząc przez pokój, w którym się znajdował, podawała mu rękę na dzień dobry. Postawę miała spokojną, lecz twarz głęboko zmartwioną. Odeszła też śpiesznie i tylko, od drzwi twarz ku Czesławowi odwracając, uśmiechnęła się pobladłemi nieco usty. Było to mgnienie oka, za które Czesław uczuł wdzięczność. Uśmiech powiedział mu: do widzenia! i jeszcze: bądź spokojny! nic bardzo złego się nie dzieje!

Jerzy, stroskany, poskarżył się przed bratem, że nie ma czasu osobiście pojechać do Suchej, co przybycie lekarza znacznie przyśpieszyćby mogło.

— Jadę! — zawołał Czesław i po kilku minutach był już w drodze.

W kilka zaś godzin potem przez drzwi otwarte widział w sąsiednim pokoju Janinę, siedzącą przy stole naprzeciw człowieka z siwiejącymi włosami i miłą, myślącą twarzą. Rozmowy ich, prowadzonej półgłosem, nie słyszał i dochodziły go z niej tylko pojedyńcze, nieliczne słowa, lecz całą siłą wzroku swego przypatrywał się Janinie.

Miała dnia tego na sobie suknię ciemną i profil jej zamyślonej twarzy, nakształt delikatnego kwiatu, wychylał się z aksamitnych obrzeżyn stanika. Głowę i kibić pochylała nieco ku starszemu koledze, co postawie jej nadawało wyraz uszanowania i skromności. Ze skupioną uwagą słuchała tego, co mówił, a gdy odpowiadała, ręka jej miała czasem pomimowolnie gesty rozwagi i energii. Trwało to przez długie minuty, a Czesław ani przez mgnienie oka patrzeć na nią nie przestał i wiódł za nią oczyma wtedy jeszcze, gdy powstała i ze starszym współtowarzyszem swym przechodziła sąsiedni pokój. Z uśmiechem pomimowolnym, z tym zaledwie widzialnym krótkim uśmiechem, który jest jakby drgnięciem na ustach rozkoszy wewnętrznej, patrzał na przyjacielski sposób, w jaki, idąc, rozmawiali ze sobą, a gdy zniknęli, z oczyma, zakrytemi dłonią, popadł w nieskończoną, kamienną zadumę.

Może wśród tej zadumy śniły się mu anioły i raje, może też miecze archanielskie na wrotach raju skrzyżowane, bo gdy obudził się z niej i podniósł głowę, na powiekach i dłoni uczuł wilgoć...

Przez kilka dni potem nie widywał jej wcale, ale po kilku dniach Jerzy, przychodząc z pokoju chorego dziecka, rzekł:

— Ta nasza doktorka to uzbrojona w naukę siostra miłosierdzia...

— Masz łzy w oczach — zauważył Czesław.

— Cóż? Uratowała mi dziecko! Jurek żyć będzie.

Milczeli potem chwil kilka i Jerzy zasiadał już przed swojem biurkiem, gdy Czesław odezwał się nagle:

— Tak. Niebo odbija się w takich naturach kobiecych!

Słowa te podniosły Jerzego z krzesła. Zbliżył się do brata, na ustach drżały mu jakieś słowa, ale Czesław, z niemal przerażonym gestem, zawołał:

— Nie, nie!

I ze wstrząśniętymi rysami pokój opuścił.

Jurek był uratowany, Krysia przestała po kątach domu płakać i załamywać drobne dłonie, a Dębsia chodzić po domu z zapłakanemi znowu oczyma; Jerzy mógł swobodnie oddawać się zajęciom swoim i wyjechać na dni kilka, w celu obejrzenia oddalonych części lasu.

— Jedź ze mną, Czesiu! Deszcze padają, w domu trochę ponuro, bo Krysia ma głowę pełną choroby swojego malca, a Janka zapowiedziała, że jeszcze dni kilka nie odstąpi go ani na godzinę. Lęka się, aby nie popełniono nieostrożności jakiej, i nie chce martwić chorego, który każdą nieobecność jej oblewa łzami. Siedzieć w tych milczących i zamkniętych ścianach, nic zabawnego. Pojedź ze mną!

W gruncie rzeczy pragnął pokazać bratu pole i owoce pracy swojej, a zarazem kilka dni nieprzerwanie z nim przepędzić. Może też w ciągu tego długiego sam na sam odkryje on przed nim do ostatka swoją przeszłość i swoje zamiary...

Pojechali, a w końcu drugiego dnia Czesław powrócił sam jeden. Zaniepokojonej Krysi powiedział, że Jerzy zmuszony został pozostać tam do jutrzejszego wieczoru, a on powrócił, bo nie mógł już dłużej...

Nie dokończył, a Krysia, w szarym kątku przedpokoju prawie niewidzialna, uśmiechała się figlarnie. Czego nie mógł dłużej? Nie widzieć Janki? Głośno zaczęła mówić, że Jurek ma się coraz lepiej i Janka pozwala już teraz zastępować siebie przy nim, sto razy na dzień tylko powtarzając: ostrożnie z jedzeniem! ostrożnie z mówieniem! ostrożnie z całowaniem! Aż uszy bolą od tych jej ciągłych przestróg. Obawia się powrotu gorączki, która jednak poszła już sobie za góry, za lasy i więcej nie wróci!...

Odbiegła. W domu panowała cisza i gdzieniegdzie tylko paliła się jakaś lampa, czy lampka. Żadnego światła nie było w pokoju, pod którego oknami kwitły niegdyś jaśminy, i Czesław usłyszał w nim przyciszoną rozmowę dwóch głosów.

— Czy można wejść? — zapytał.

— Prosimy! — odpowiedziały dwa głosy kobiece.

Deszcze ustały. Wieczór był znowu księżycowy i pogodny. W pokoju nie paliło się żadne sztuczne światło, lecz stał on cały w srebrzystej poświacie, która, smugami kładąc się na ścianach, w powietrzu rozpraszała marzenia łagodne i lotne, przepojone też było to powietrze zapachem kwitnącej w doniczkach rezedy. Okna były zamknięte, jedne tylko drzwi otwarte na ciemność i pustkę; żadnych nigdzie głosów. Zaciszność, ciepło, woń rezedy i w smudze księżycowego światła zupełnie wyraźne postacie dwóch kobiet.

Matka siedziała w głębokim fotelu; włosy jej świeciły srebrem, a twarz bladością. Nie była bardzo stara, lecz przeszłość, obdarzając ją wielu bolesnymi ciosami, odebrała jej w zamian to bogactwo, którem jest zdrowie. Janina siedziała obok matki na nizkim stołku, więcej w cieniu, podobna sama do wysmukłego cienia.

— Usiądź, Czesiu!

Po raz pierwszy, odkąd tu przybył, mówiąc do niego, użyła tej spieszczonej formy imienia, którą nazywała go, kiedy był dzieckiem i młodzieńcem. Odezwało się to w nim, jak echo dalekiej pieszczoty, bardzo miłej.

Jak ma się Jerzy? Dokąd obaj jeździli? Jakie miejsca zwiedzili? Kiedy Jerzy powróci? I inne jeszcze pytania i odpowiedzi codzienne, potoczne, aż z jakiegoś słowa, czy imienia, wywiązała się rozmowa o przeszłości, o tej przeszłości nie jej samej, lecz szerokiego koła ludzi i zdarzeń, na które patrzała młodemi i pełnemi zapału oczyma.

Rzadko wspominała o tem, na co niegdyś patrzała, czego doznała, co strugami uczuć rozmaitych przepływało przez strudzone dziś jej serce. Starość często staje przed twardem obliczem świata w postawie lękliwej i blizcy wyjścia z gmachu życia nieśmiało usuwają się na stronę przed tymi, którzy do niego wstępują. Miała starość nieśmiałą. Obejście się jej posiadało tę samą delikatność, która była cechą obu jej córek, i pod suknią

wiecznie czarną zachowała jakąś smętną, pomimowolną gracyę poruszeń i słów. Więc lękała się być natrętną i wśród tych nawet kilku istot, które ją kochały, ciałem i duchem żyła na stronie.

Ale tego wieczoru światło księżycowe może, czy miękka dłoń córki na jej ręce leżąca, czy jakieś skryte pobudki macierzyńskiego serca, skłoniły ją do mówienia. Opowiadała o rzeczach i wypadkach, na które niegdyś patrzały jej młode oczy, o czynach ludzkich, które niegdyś wielbiło jej młode serce. Powolna i przyciszona jej mowa wywoływała z grobu niepamięci imiona niegdyś rozgłośne, a w czasie umilkłe, dramaty zapomniane, ofiary i bohaterstwa, nie mające nagrobków i nie wciągnięte do żadnej epopei nieśmiertelnej. Był to czarodziejski pochód po srebrnej wstędze księżycowego światła wskrzeszanych obrazów, scen, postaci. Pokój napełnił się szelestem niewidzialnych skrzydeł i rozlały się po nim szmery westchnień zagrobowych. Coś, jakby skarga, czy żałość, czy melancholia, przewlekało się blademi smugami po ocienionych kątach i coś, jakby mgliste oblicza, w koronach rozwianych włosów, zazierało przez osrebrzone szyby.

Dla Czesława były to rzeczy zapomniane. Dążenia i prace jego popłynęły korytem dalekiem i odwróciła się od widmowych korowodów tradycyi pamięć jego. Spoczywa to w naturze ludzi, że kochać i czcić przestają — przez zapomnienie; lecz bywają tacy, którym wystarcza jednej iskry, wrzuconej do pamięci, aby w sercu zagorzał dawny płomień.

Z oczyma, zakrytemi dłonią, słuchał, kiedy niekiedy wymawiając kilka słów zapytania, czy przypomnienia, jakieś imię, jakąś datę. Potem odsłonił oczy i długo pa-



Opowiadała o rzeczach i wypadkach.

608

trzał na księżyc w pełni, który stał nad lasem. W świetle księżyca twarz jego miała wyraz surowy. W głębokościach sumienia sprawiał sądy i wydawał wyrok na samego siebie, zapytywał: cóż ja? cóż ja? cóż ja? i odpowiadał: marność! Przeszłość własną postawił obok innych przeszłości i osądził, że jest marną. Twardo osądził samego siebie i zapadła mu na dno piersi zgryzota strzaskanej dumy. Była to także zgryzota faktów nieodwołalnych i strat, które powróconemi być nie mogły.

Spojrzał na Janinę. Nie zmieniła miejsca, tylko z taburetu zsunęła się na klęczki i, ramieniem otaczając szyję matki, głowę położyła na jej piersi. Do rozmowy nie mieszała się ani jednem słowem i wtedy dopiero, gdy godzina późną stawać się zaczęła, z pieszczotliwą troskliwością zajrzała matce w oczy.

— Matusia za dużo dziś mówi... pora już przestać mówić... pora już spać...

Czesław powstał i nizko pochylony całował rękę, podobną z kształtu do ręki Janiny, tylko w wichurze czasu zeszczuplałą i uwiędłą. Całował ją długo i doświadczył przebłysku uczucia, że jest to ręka jego matki. Matkę swą kochał niegdyś bardzo i utracił wcześnie. Razem z wielu innemi przypomnieniami, przypomnienie o niej silnie uderzyło go w serce. Podniósł twarz i z pieszczotą w głosie poprosił:

— Niech matusia uczyni mi wielką łaskę!

— Jaką? jakąż mogę...

Często i nawskroś starość przeniknięta bywa myślą przepaściście smutną, że już dla nikogo — nic nie może.

— Niech mię matusia na dobranoc pocałuje w czoło!...

Odgadła jego wewnętrzną pobudkę.

— Przypomniała ci się matka twoja... Rówieśnicą moją była i przyjaciółką... Nazywałam ją Krysią i dla niej imię to dałam jednej z córek...

Przyłożyła mu na chwilę do czoła wątłe, łagodne wargi, a on to czoło mądre, niedawno tak dumne, na chwilę do kolan jej przycisnął.

W pół godziny potem znalazł się sam na sam z Janiną na schodach ganku. Powiedziała, że, przez dni kilka nie wychodząc wcale z domu, wyszła teraz dla odetchnięcia powietrzem pięknej nocy, a on wprost odpowiedział, że, nie widząc jej od tak dawna, przyszedł tu z nadzieją, że ona zechce popatrzeć na piękną noc. Stali z daleka od siebie, w cieniu gankowych słupów, grubych od owijających je splotów roślinnych. Po zamianie pierwszych słów milczeli dość długo, poczem Czesław mówić zaczął, że przepędził z jej matką godzinę czarującą, o której nie zapomni nigdy...

— Pani musi bardzo kochać swą matkę!

Zapewne czuwanie długie nad chorem dzieckiem, może długa tęsknota, może wątpliwości, odzywające się głośniej w bezsennych czuwaniach nocnych, osłabiając ciało, osłabiły jej wolę, bo polały się z ust jej słowa ciche, lecz szybkie, zapalone u wewnętrznego pożaru.

Możnaż nie kochać istoty, nietylko tak blizkiej ale tak dobrej, słabej, a cierpliwej, która wiele przeżyła i w gorzkiem morzu życia nie utopiła słodyczy swego serca! To jest rzadkie. Okrucieństwo życia nalewa często jadem lub chłodem serca z natury dobre i gorące. A to

serce pozostało dobrem i pełnem różnego kochania. Lecz ze wszystkich ukochań to, które ma dla Janiny, jest najgorętszem. Nigdy niesprawiedliwością lub samolubstwem nie zachmurzyła młodości swego dziecka i nie utrudniła przeszkodą żadną wybranej przez nie drogi. Do niej jednej tylko, ze wszystkich na świecie ludzi, Janina powiedzieć może: moja ty, moja! Bo siostra, choć bardzo kochana, należy do swojej rodziny i mieszka daleko; kochają się z siostrą, lecz do siebie wzajem nie należą. Jedna tylko matka. Nikogo na własność serca nie posiada, oprócz niej, jedynej. A przecież, bez kropli, bez jednej choćby kropli tej słodyczy, która płynie z uczuć wyłącznych, serdecznych, gdy praca wszystkie siły wypija z człowieka, on nowych zaczerpnąć nie ma skąd. Kłamstwem jest, że można w pracy zatopić wymagania serca. Przeciwnie, im więcej kto samym sobą żywi świat, tem więcej potrzebuje odżywienia się w jakiemś błogosławieństwie życia, w jakimś błogim jego darze, w tem miłosierdziu i w tem zlitowaniu, którem jest ufność i przyjaźń. Może to dziwne, że tak mówi kobieta, która oddała się zawodowi surowemu, pełnemu często prozaicznych trudów, nawet wstrętów. Ale i to jest mniemaniem mylnem, że zatrudnienie jakiekolwiek może przeorywać do dna i przeinaczać najgłębszy grunt natury. Kształci ono i przekształca jej warstwy blizko powierzchni leżące, lecz to, co na dnie natury...

— Kobiecej! — po raz pierwszy przerwał Czesław.

Zastanowiła się chwilę i odpowiedziała:

— Nie: mojej.

To rzecz indywidualna. Wśród mężczyzn i wśród kobiet są tacy, w których to jest, i tacy, w których tego

niema. Można to nazwać siewem kochania. Siew ten domaga się wypełnienia. Ona wypełnienie to znajduje w stosunku swym do matki. Radością jest dla niej, że stała się jej podporą, że rozciąga nad nią opiekę, że usuwa od niej wszystko, co boli, i wszystko, co trapi. Rad jej w trudnych często powikłaniach życia nie zasięga, ani opowiada jej o trudach swego zawodu, ani wikła ją w boje, które często staczać musi z ciężkimi stosunkami świata i własnego losu; bo czyż mogłaby szukać oparcia na ramieniu tak zwątlałem, lub cienie smutku czy troski rzucać na resztki tego drogiego życia? Ale ma w sercu wiarę, że jest przez kogoś na świecie bezbrzeżnie kochaną, że jest komuś na ziemi potrzebną koniecznie, ma to jedyne ale błogosławione ujście...

Nagle przerwała mowę, umilkła. Prędkim ruchem wyszła z pod ocieniających ją splotów roślinnych i zbliżyła się do Czesława.

— Dobranoc panu!

Podała mu na dobranoc rękę i wtedy zobaczył, że po twarzy jej spływały łzy. Odwracała głowę ruchem zawstydzenia i, szybko wysunąwszy rękę z jego dłoni, wbiegła do wnętrza domu, zniknęła. Czego zawstydziła się? Łez swoich, albo tego, że powiedziała tak wiele?

A on poszedł oświeconą księżycowem światłem drogą leśną i szedł coraz dalej, dalej, bardzo powoli, z głową pochyloną, na nic dokoła nie patrząc, jak w ciężkim śnie...

Nazajutrz Krysia przy śniadaniu, ze zmarszczonem nieco od troski czołem, ale milcząc, przyglądała się siostrze i szwagrowi, a potem szepnęła do męża:

— Jak oni źle wyglądają oboje? Czy zauważyłeś?

Jerzy uśmiechnął się i zażartował:

— To przejdzie! To takie fazy...

Byli oboje mizerni i bladzi. Jakaś męka wewnętrzna w ruchy Janiny wlewała słabość i powolność, a czoło Czesława okrywała wyrazem zmęczenia.

Zbliżył się do niej z prośbą, aby po tak długiem przesiadywaniu w domu poszła z nim na przechadzkę. Z nieukrywanym żalem odpowiedziała, że teraz nie może, bo jest potrzebna małemu Jurkowi i kilku chorym, przybyłym do niej z sąsiedztwa. Chyba przed wieczorem...

— Dokąd pójdziemy?

— Może pod nasze wierzby?

Mieli już wiele miejsc swoich: w domu swoje okno, za domem swoją kłodę sosnową na łące leśnej, swoje wierzby za lasem. Mawiali czasem: usiądźmy przy swojem oknie i czytajmy! Albo: gdyśmy siedzieli tam, na naszej kłodzie sosnowej... Miejsca te znaczone były pamiątkami rozmów długich, wzruszeń ukrytych, przelotu złotych chwil.

Niedaleko wąwozu, nazwanego przez Czesława królestwem kalin, pod samym lasem i na skraju pola, rosły wierzby, zwane srebrnemi dlatego, że, mając srebrzyste podszewki, przelewają w sobie fale roztopionego srebra.

Tam poszli. Po drodze Janina spostrzegła, że wrzos już rozkwitł. Przez te dnie, które spędziła w zamknięciu, rozciągnęły się na podścielisku leśnem liliowe kobierce z połyskiem atłasowym.

Wrzos rozkwitł i po niedawnych deszczach w powietrzu czuć się dawał zapach zwiędłych liści.

— Jesień przybywa...

— Odlot ptaków...

— I odlot ludzi...

Słowami temi zamienili się w zamyśleniu, powoli. Ona ruchem powolnym zerwała kilka gałązek wrzosu i zaczęła coś mówić o wspaniałości tutejszych jesieni, a on odpowiedział, że je znał niegdyś, pamięta, dawno nie widział. Potem umilkli i nie mówili nic już wcale, nie mogąc, albo nie chcąc, dla słów napróżnych rozrywać pęt, które zwierały im usta. Tak doszli do miejsca, w którem drzewa lasu rozstąpiły się przed nimi i odsłoniły żółte ściernisko, leżące pod seledynowem niebem nadchodzącego wieczoru. Z wąwozu, jak skroplona krew z puharu, wylewały się grona czerwonych jagód; tu i owdzie jarzębiny wysmukłe stały w koralowych strojach. Na ściernisku wznosiły się zrzadka jakieś wielkie rumiany z żółtemi oczyma, jakieś osty rozłożyste, owieszone pasmami szarej przędzy, która czyniła je podobnemi do siwowłosych, rozczochranych starców. Zachodnia strona nieba poczynała zapływać złotem bladej zorzy.

Pod nieruchomemi w nieruchomem powietrzu wierzbami usiedli na rdzewiejącej trawie małego pagórka.

Oczy Janiny tkwiły w bladem złocie zorzy.

— Już! wszystko przemija! Za kilka tygodni będę daleko stąd...

W głosie jej był ten smutek, który, jak kamień, przytłumia głos. Ciężko jej było mówić i oddychać. On to widział i czuł. Wziął jej rękę, łagodnym ruchem wyjął z niej kilka gałązek wrzosowych i zamknął ją w swej dłoni.

— Nie mówmy o rzeczach smutnych... ach droga! zapomnijmy o dalekich stronach, o rozłączeniach, o fatalnościach, które wyroki śmierci głoszą nad głowami życia... Zapomnijmy na jedną chwilę, na tę chwilę, w której jeszcze... jeszcze wolno nam żyć... chwytajmy tę chwilę, co jeszcze nasza... Dlaczego odwracasz oczy? te oczy to gwiazdy! O najdroższa, jedyna... patrzmy na siebie... dopóki nie zapadnie noc...

Pochylił się nad jej ręką, którą trzymał w swojej i, okrywając ją pocałunkami, coś jeszcze mówił, szeptał, ale słowa jego tak mieszały się z westchnieniami i tak były zgiełkliwe a zarazem ciche, że ich prawie nie słyszała. Szczupłe ramiona jej poczęły drżeć i drobne usta, nieco rozwarte, drżały od pieszczot płomiennych, które z ust jego spływały na jej rękę. Omglonemi oczyma patrzała wciąż na zorzę blado-złotą.

Wtem na łąkach dalekich, kędyś pod skrajem nieba zagrała fujarka pastusza. Ton jeden, drugi, trzeci z mglistej oddali wypłynął nad żółtem ścierniskiem i rozlała się od niego zaduma bezdenna w powietrzu przejrzystem, po koralach drzew i krzewów, po siwych, wysokich ostach. Wszystko od nieba do ziemi i niebo samo stanęło od tych tonów, wołających i tęsknych, w bezbrzeżnej tęsknocie.

Czesław podniósł głowę.

— Czy słyszysz? Fujarki grają na odlot ptakom... ptakom tułaczym... To nieszczęście śpiewa... nieszczęście wieczne... Nie! niepodobna zapomnieć ani na chwilę! Jam ptak tułaczy i odlecieć muszę... na zawsze! Niema dla mnie przebaczenia, ani wybawienia, lecz ty... przebacz... ach, gdy zniknę na zawsze, przebacz. Możem na drodze twojej posiał ognisty kwiat... wszak prawda, że kwiatem ognistym jest taki ból... taka męka...

Niepodobna było mylić się: męka, której doświadczał, była ciężka i uczuła to Janina. Przestała drżeć, odwróciła oczy od złotej zorzy i spojrzenie, pełne troski, zatopiła w jego twarzy. Śmiałym i silnym ruchem obie ręce jego wzięła w swoje. Nie był to ruch kochanki, ale istoty, nawykłej do przynoszenia innym pomocy w cierpieniach. Patrząc prosto w jego twarz wzburzoną i ręce jego trzymając w uścisku miękkim, ale silnym, mówić zaczęła:

Dlaczego ptak tułaczy odlecieć musi na zawsze i męka jego ma być wieczną? Złowieszcze jakieś widmo stoi mu nad głową, ona to czuje oddawna, lecz nie wie, jakiem jest. Może gdyby wiedziała, rozwiałaby się ta mara, albo groźbom jej wspólnie postawiliby czoło. Ona może usłyszeć wszystko bez przerażenia i zdziwienia, bo poznała już życie i rozumie, jakie burze i powikłania powstawać mogą w sercach i na drogach ludzkich. Nie skłonna jest do potępienia, a pełna chęci ogromnej podzielenia się z nim choćby bólem i burzą i przyniesienia może pomocy powikłaniom, w które wplątał go los.

Po raz pierwszy mówiła mu ty i brzmiało to w jej ustach pieszczotą poufałą, lecz braterską.

— Powiedz wszystko, bądź szczery! O, jak cię o to proszę! Pozwól mi razem z tobą przypatrzyć się twemu nieszczęściu. Może nie jest zbyt ciężkiem — na wspólne siły? Proszę! Powiedz wszystko!

W miarę jak mówiła, na twarzy jego malował się coraz wyraźniejszy i wszystkie uczucia inne zwyciężający przestrach, aż z obłędem w oczach porwał się z siedzenia, ręce ku głowie podniósł i zawołał:

— Powiedzieć! tobie powiedzieć! tobie właśnie powiedzieć! Ach, nie powinnaś wymagać tego ode mnie! Czyż ktokolwiek może od kogoś wymagać samobójstwa? Dowiesz się... kiedyś... ale mnie wtedy nie będzie już tu, albo i na świecie. Lecz oko w oko z tobą, oko w oko z twemi oczyma przeczystemi, cudnemi, wyznać, powiedzieć... Ani jednej sekundy potem żyćbym nie mógł! ani jednej sekundy! Są przecież na świecie lufy pistoletowe... o Boże! nie mogę już dłużej, nie mogę!

Przeskoczył wlokącą się po ziemi gałąź wierzbiny i wbiegł do lasu.

Janina stanęła. Cała we wzroku i słuchu, z podaną naprzód szyją wpatrywała się w zarośla leśne, aż usłyszała, stłumione przez oddalenie, jedno tylko, lecz straszne w swej sile załkanie. Zdawaćby się mogło, że w tem załkaniu pękła tam jakaś pierś ludzka.

Jak przestraszona łania, skoczyła, wbiegła do lasu, zniknęła. Zniknęli oboje i pod srebrnemi wierzbami nikogo już nie było.

Za nimi pozostało ciche ściernisko, ubrane w korale drzew i w żółte oczy kwiatów. Płynęły nad niem tony fujarek pastuszych i gasła zwolna nad jego skrajem blado-złota zorza.

VI.

Była potem w Polance noc pełna przestrachu. Janina wróciła z przechadzki pod wierzby wieczorem późnym, sama jedna i od brzegu lasu już poczęła wołać szwagra. Spotkawszy się z Jerzym, pochwyciła go za obie ręce.

— Nie wrócił? Czy nie wrócił? — zapytała.

— Nie; niema go tu... Dziwiliśmy się, że tak późno...

Ona wtedy, drżąc i z siłą nadzwyczajną ręce jego ściskając, o czemś mu przez chwilę mówiła bardzo cicho, aż Jerzy z oczyma pozelęknionemi począł wołać na służbę o konie, latarnie, o przywołanie jak najprędsze poblizkich stróżów leśnych. Pół godziny nie upłynęło, gdy rozbiegły się już po lesie tententy koni i światła latarni.

Matka, do której pokoju Janina weszła z twarzą spokojną, zapytała, co się stało? Dlaczego jakiś ruch niezwykły powstał w domu? Janina odpowiedziała, że Jerzy i kilku stróżów leśnych puścili się na wyszukanie znacznej sumy pieniężnej, którą Czesław zgubił w lesie. Potwierdziła to Dębsia, stojąca w najciemniejszym kącie pokoju.

— A gdzież jest Czesław?

— Szuka tak, jak i inni.

Matka usnęła. Janina zgasiła światło i w ciemności przypominała sobie wszystko, co zaszło.

Słowa Czesława, brzmienie jego głosu i wyraz twarzy, z jakim rzucił się w zarośla leśne, przejęły ją trwogą. Wiedziała dobrze, że był to obłęd rozpaczy, który, biorąc rozbrat z myślą przytomną, na wiele ważyć się może. Usiłowała odszukać go, i uczynić tego nie zdołała, czy nie potrafiła. Szła szybko i długo ścieżkami i zaroślami, wpatrując się w mroki leśne, przyśpieszając kroku przy każdym usłyszanym szeleście, aż tchu w piersi i siły w nogach pozbawiona, skierowała się ku domowi, wołając Jerzego wtedy już, gdy on jeszcze słyszeć jej nie mógł. Teraz, siedząc w ciemności, coraz więcej stawała się cała niepokojem, który, w miarę posuwania się czasu, wzrastał w trwogę śmiertelną i nabierał nieznośnego bólu. To łkanie, które w oddali usłyszała, za każdem przypomnieniem chwytało ją za gardło... Musiała opuścić pokój, w którym spokojnie spała jej matka. Cichutko z pokoju tego wysunęła się o świcie i stanęła u okna, za którem niegdyś kwitły jaśminy. Tłum wspomnień tu ją opadł i łzy strugami cichemi polały się z oczu. W okolicach serca jej pracować począł ten ból fizyczny, który znała i od którego powrotów przybyła tu szukać ratunku w ciszy wiejskiej, u woni leśnych, u spokojnego oddychania wśród ludzi kochanych. Powracał jednak; powracał na ognistym wozie męki serdecznej i skądciś, z głębin wnętrza, podnosił się ku szczytowi piersi, tłumiąc oddech. Z bólem tym w piersi, z oddechem ciężkim i dwoma strugami łez na policzkach, stała w błękitnem świtaniu cała biała, przed otwartem oknem, tem samem, u którego nieraz muskały ją pieszczotliwie skrzydła chwil złotych, chwil poczynającego się szczęścia. O! w jakimże woalu tajemniczym i posępnym wychylało się z mgieł niepewności to jej szczęście!

Do pokoju weszła Krysia w ubraniu porannem, z roztarganą gęstwiną włosów dokoła dziewczęcej prawie głowy. Objęła siostrę ramieniem i przytulona do niej szeptała, że usnąć było jej niepodobna, że nikt w domu oprócz dzieci nie śpi, że Dębsia ze świecą w ręku niewiedzieć czego przewleka się po pokojach, że Czesław najpewniej, najpewniej za godzinę, za dwie razem z Jerzym powróci. W tym kochanym, takim miłym, miłym Czesławie dzieje się coś nadzwyczajnego; oddawna to oboje z Jerzym spostrzegają. Ma jakieś wielkie zmartwienie, które przed wszystkimi tai. Może długi dokuczliwe, jakieś trudności natury materyalnej, może zachwianie się w karyerze, o którą przecież tak bardzo mu zawsze chodziło. Ale to się wyjaśni, to się wyjaśni niezawodnie i wkrótce. Ona sama, Krysia, któregokolwiek dnia wyspowiadać go spróbuje i prawie pewną jest, że to jej się uda. A gdy tylko powie co mu jest, wszystko będzie dobrze, bo naradzą się wspólnie i pewnie okaże się, że on coś tam zanadto do serca bierze...

Tu szeptać przestała. Spostrzegła w cerze siostry zmianę wielką i to, że obie ręce przyciska ona do piersi. Zrozumiała.

— Pobiegnę do pracowni twojej i przyniosę lekarstwo... przecież wiem, czego w takich razach potrzeba...

Janina z wybuchem zaszeptała:

— Ach, niczego mi nie potrzeba! Niczego, niczego mi już nie potrzeba!

Ale Krysia obu ramionami ją objęła.

— A matusia, Janko? pomyśl, jeżeli się dowie, żeś chora...

— Prawda! nie trzeba, aby się dowiedziała! Idź, Krysiu, idź prędko, prędko!

Jak zwinna, cicha kotka, Krysia pobiegła, a biała dziewczyna z jękiem osunęła się na sprzęt najbliższy.

W kilka godzin potem dwaj bracia razem powrócili do domu, tak głośno i wesoło ze sobą rozmawiając, tacy rzeźcy i weseli, że postrachy nocy ubiegłej mogły odrazu wydać się wszystkim próżnemi urojeniami.

Czesław, swobodnie i z właściwem mu przymileniem całował ręce bratowej, witał się z Dębsią, przepraszał za sprawione niepokoje i trudy. Na chwilę tylko wszedłszy do lasu, zamyślił się, odszedł za daleko, w miejscowości nieznanej zabłądził, całą noc błądził, aż natrafił na jakąś chatę strażniczą, w której właśnie znalazł go Jerzy. Wyglądać musi po całonocnej wędrówce jak upiór, jest pomimowolnym, lecz bardzo skruszonym grzesznikiem i wszystkich o przebaczenie prosi...

Jerzy znowu opowiadał, że skruszonego grzesznika tego znalazł w humorze doskonałym. Zabawiła go snać epopeja ta, pełna kłopotów. Spotkał przybywającego brata z otwartemi ramionami i zaraz opowiedział mu wszystkie perypetye swej całonocnej tułaczki. Obaj boki zrywali od śmiechu.

— Ale dawaj jeść, Krysiu! Skruszony grzesznik ten musi być grzesznikiem zgłodniałym.

Na stronie szepnął do żony:



Dziewczyna z jękiem osunęła się na sprzęt najbliższy.

— Przyśniło się coś Jance... choć doktór, ale kobieta, a kobietom zawsze dramaty w głowie!

I głośno zapytał:

— Gdzież jest Janka?

— Janka chora — odpowiedziała Krysia.

Wtedy z Czesława, nakształt kostyumu maskaradowego, spadła wesołość. Stanął jak wryty i bladość oblała mu twarz zmęczoną. Ale nikt tego nie spostrzegł, bo w tej chwili weszła Janina, mówiąc:

— Krysia plotki opowiadała o mnie; jestem już zdrową zupełnie. Dzień dobry panu!

Podali sobie na powitanie ręce i długo ich rozłączyć nie mogli; nie rozłączały się też długo ich spojrzenia....

Od tego dnia stosunek ich nabrał cech szczególnych. Szukali się nawzajem nieustannie i, znalazłszy się, opuszczali się natychmiast. Dążyli do zbliżenia się ku sobie i każde zbliżenie było im pobudką do szybkiego oddalenia się i rozłączenia. Przechodzili obok siebie z spuszczonemi powiekami i milczącemi usty, aby po czasie niedługim spotkać się z sobą znowu i znowu rozminąć się bez spojrzenia i bez słowa. Pociągał ich ku sobie nieprzemożony głód oczu i serca, a roztrącała trwoga, o źródłach niejasnych dla niej, dla niego wiadomych i przez to silniejszych. Gnał ich ku sobie instynkt, pragnący życia, a odrzucał od siebie ten, który chroni człowieka przed niebezpieczeństwem, równem śmierci. Była to walka, którą toczyły z sobą ich oczy, usta, kroki, wszystkie poruszenia ciała i ducha. Walka ta miała wyraz sroższy i rozpaczliwszy u Czesława, niż u Janiny. Ona nie wiedziała nic i czuła tylko pomiędzy nim a

sobą jakieś widmo z obliczem zasłoniętem. Sama jedna z pomiędzy otaczających uwierzyć nie mogła opowiedzianej bajce i wiedziała dobrze, że pognało go wówczas w głębiny lasu nie zabłądzenie przypadkowe, lecz to widmo, ziejące rozpaczą. Kobieca jej skromność i duma cofały się przed bojem z tem czemś nieznanem, z czego on budował zaporę pomiędzy nią a sobą. Ale on wiedział dobrze, jaką była ta zapora, i przemawiał w nim, nad głosy burzy wewnętrznej silniejszy, głos sumienia. Może również głos tej czci męskiej, która, tak samo jak skromność niewieścia, nie znosi pewnego rodzaju plam. Więc przemijały im dziwne dnie milczące, nie pocieszane niczem, pełne zasmuceń i srogiej walki pomiędzy dążeniem ku sobie a unikaniem siebie, pomiędzy wewnętrzną ich gorączką a spokojem, w który przyoblekali się na zewnątrz.

Wynikało z tego dla nich mnóstwo przelotnych scen, wzruszeń, wstrząśnień, których nikt dokoła nie spostrzegał. I nic w tem nie było dziwnego. Jerzy i Krysia mieli zajęcia, pochłaniające myśli i większość godzin, a oprócz tego posiadali wspólną wszystkim ludziom skłonność do wmawiania w siebie rzeczy przynoszących uspokojenie i pociechę. Po długich rozmowach i roztrząsaniach wmówili w siebie, przyszli do przekonania stanowczego, że te zgryzoty tajemne, których niekiedy Czesław doświadczać się zdawał, pochodzą z przyczyn natury pieniężnej, lub z niepowodzeń, doświadczonych w karyerze, o którą przecież tak bardzo dbał niegdyś. Przychodziły im też na myśl te stosunki, lekkomyślnie zawiązywane, a potem uciążliwe, w które wikłają się przecież niekiedy ludzie skłonni, tak jak Czesław, do unie-

sień namiętnych i czynów porywczych. Lecz i to również, zboczeniem będąc, wyprostowanem być mogło. Niewiedzieć tylko dlaczego Czesław z tych trosk albo zmartwień swoich czyni przed nimi tajemnicę. Pochodzi to zapewne z dumy przesadzonej, którą odznaczał się zawsze, i usunięte zostanie przez Jankę. Uczucie jego dla niej jest bardzo widoczne, i dziś czy jutro wypowie swoje ostatnie słowo. Wszystkie tony pieśni są już odśpiewane, i dziś czy jutro zabrzmi ostatni jego akord. I wówczas dopiero dla nich i dla tych, którzy ich kochają, rozpocznie się długa pieśń, pełna radości...

— Kiedy Czesław odjechać musi? — zapytała Krysia.

— Za dni dziesięć, czy trochę więcej...

— Więc jednocześnie z Janką...

Jerzy zaśmiał się wesoło.

— Wkrótce będzie to para, jeżdżąca i chodząca po świecie nie jednocześnie, ale razem.

Wówczas właśnie, gdy tak rozmawiali, Czesław i Janina wyszli razem z domu.

Po raz pierwszy od owej rozmowy pod wierzbami zgodzili się zostać z sobą razem i stało się to w sposób szczególny. Spotkali się na ganku domu i bez zamienienia jednego słowa lub spojrzenia, zszedłszy z gankowych schodów, poszli obok siebie dalej, pomiędzy rzadko rosnące sosny. Głód ich oczu i serc odniósł w tej chwili tryumf nad wszystkiem innem, ale był to tryumf milczący i pozbawiony radości.

Byli nakoniec razem i były z nimi tylko sosny wysokie, które kochań ludzkich podpatrywać i podsłuchiwać nie mogą; jednak na twarze ich, ani na usta nie dobywał się żaden promień kochania. Szli zdala od siebie,

ze spuszczonemi oczyma i mieli na twarzach wyraz tej surowej i zimnej powagi, w którą starannie zasklepiają się rany, niewidzialnemi pozostać pragnące.

Tak szli dość długo, aż Janina stanęła i, opierając plecy o szare porosty drzewa, rzekła z cicha:

— Nie mogę iść dłużej. Muszę odpocząć.

Czesław zatrzymał się natychmiast i stanął z daleka od niej, tak jak ona pod wysmukłą kolumną sosny. Rozdzielała ich przestrzeń kilku kroków, na której rosły do kolan sięgające im paprocie.

Miejsce, w którem się zatrzymali, nie było jednem z tych, które nazywali swojemi; może nie znajdowali się na niem nigdy, lub omijali je nieuważnym wzrokiem. Wysokie sosny tkały tu w górze baldachim wzorzysty, przez którego ażury przeglądały skrawki bladego nieba, a dołem słały się mchy siwe, rosły puszcze paproci rdzewiejących, z za przerzedzonych listowi przeglądały liliowe kobierczyki wrzosu. Powietrze miało pylną woń uschłych liści i nic w niem nie było oprócz tej woni i czasem słabych powiewów wiatru, które na wierzchołkach budziły ciche poszumy i cichymi szelestami przebiegały gęstwie paprociowe. Zabrzmiał w niem po chwili przyciszony głos Czesława:

— Musisz odpocząć i jesteś zmęczona. Jesteś podobna do lilii, chwianej przez oddech życia i tak białej, jakby od żadnego już słońca nie mogła zapłonąć rumieńcem. Dlaczego? Czy to jest mojem dziełem? Myśl ta napełniła mnie rozpaczą, ale nie o mnie idzie... Idzie o ciebie. Masz rozum, naukę, męską dumę samodzielnego bytu i cudny wdzięk kobiety czarującej, a jednak jest w tobie jakieś nieszczęście. Matka, nad grobem sto-

jąca, jest ujściem jedynem dla uczuć twych nie powszechnych, nie abstrakcyjnych, lecz własnych, swoich, takich, które są męką głodu i pragnienia, ilekroć nie mają ujścia. Ileż razy i na dnie jakich przepaści żałosnych nad tem się zastanawiałem. Pragnę widzieć... pragnę, abyś otworzyła duszę swą przede mną i abym, oddalając się stąd, uwiózł z sobą zupełny jej obraz... Znamy się od dzieciństwa, i powinniśmy być blizcy sobie... Miej mnie za brata i powiedz mi wszystko... Pragnę mieć... pragnę ciebie mieć... przynajmniej w obrazie twej duszy zupełnym i moim...

Wielki, choć z całej siły tłumiony gwałt pożądania był w tych prośbach... Gdy umilkły, Janina długo nie odpowiadała. Stali ciągle w znacznem od siebie oddaleniu, oparci plecami o kolumny wysokich drzew: ona z głową pochyloną nizko i silniej splecionemi na sukni rękoma, on cały ku niej podany i wpatrzony w nią oczyma krzyczącemi z bólu. Oboje mieli pozór męczeński. Nakoniec słuchu jego doszedł jej cichy, ale wyraźny szept:

— Nie mogę mówić o tem, Czesławie! przebacz, ale nie mogę. Nauka i praca nauczyły mię mówić o wszystkiem i wszystko nazywać po imieniu, kiedy idzie o innych... Ale o sobie... Rany cudze opatrywać... dobrze... ale pokazywać swoje... Mówisz, że jesteśmy sobie blizcy... Nie! O Boże! Czemże jesteśmy dla siebie? Niczem wcale... Wszakże rozumieć to musisz, Czesławie... Masz w sobie również nieszczęście... jakieś nieszczęście, a ja nie wiem...

Czesław milczał chwilę, a gdy znowu mówić zaczął,

z cichym szmerem paproci przypłynął do niego jej szept żałosny:

— Cóż ja ci dam?... co powiem?

I nagle ręce załamane przed siebie wyciągając, z wybuchem niepokonanym zawołała:

— Ja kocham cię... Czesławie!...

Potem jeszcze mówiła ciszej:

— Niechże to słowo... niechże to słowo będzie ci pamiątką ode mnie... na oddalenie... na rozłączenie... na zawsze...

Ale w nim pękła tama wewnętrzna i był już u jej kolan.

Szumiały nad ich przybliżonemi ku sobie głowami szerokie konary sosen, z cicha szemrały dokoła splecionych ich ramion drżące paprocie.

VII.

Słońce blizkie zachodu wesoło oświecało wnętrze domu w Polance. Sprzęty i ściany połyskiwały od tej iskrzącej się pozłoty i przepojonymi nią były rozproszone tu i owdzie bukiety z wrzosu i jarzębinowych jagód. Jaskrawo i wesoło, a zarazem spokojnie wyglądało to wnętrze, po którem przesuwały się również wesołe i spokojne twarze ludzkie.

Jerzy skończył dziś jakieś uciążliwe obliczenia i rachunki, które przez dni parę tak go pochłaniały, że nie mógł czasem zasiadać przy rodzinnym stole; Dębsia rozmawiała gdzieś w kątku z odzyskanym synem, niedobrym, lecz kochanym; dzieci przez smugi słoneczne przelatywały, jak motyle, a Krysia biegła do męża, z radości klaszcząc w drobne dłonie. Jakże nie miała cieszyć się, skoro zobaczyła Janinę i Czesława, powracających z przechadzki takimi, jakimi dotąd nie widziała ich nigdy!

— Mówię ci, Jurku, że to coś nadzwyczajnego! Szli z sobą pod rękę, czego dotąd ani razu jeszcze nie widziałam. Janka zarumieniona, jak najpiękniejsza zorza, a on, wpatrzony w nią jak w niebo. Nic i nikogo dokoła siebie nie widzieli; przeszłam o parę kroków od

nich i nie spostrzegli mnie; Jurek uczepił się sukni Janki, a ona machinalnie odsunęła go od siebie. Oboje tacy uroczyści jacyś i coś takiego bije od nich, jakby znajdowali się na innym świecie. Myślę, że...

— Że już rozmówili się z sobą jasno i stanowczo.

— Pewna tego jestem.

— Nakoniec! Jakaż to dla mnie radość!

— Spójrz, Jurku, spójrz!

Ukazywała mężowi okno, przez które widzieć można było ganek, w znacznej już części ogołocony z oplatającej go latem gęstwiny kwiatów i liści.

Na ganku Janina i Czesław siedzieli tuż przy sobie. On cały w oczach obejmował wzrokiem jej twarz zarumienioną i słuchał tego, co mu opowiadała z ładnymi gestami białych rąk i mnóstwem uśmiechów na zaróżowionych ustach. Oboje mieli postawy istot, przed któremi szczęście cały świat zasłoniło, a one poddają się mu bez pamięci, z zapomnieniem o wszystkiem, bo nic dla nich w tej chwili nie istnieje na świecie, oprócz ich dwojga.

W tej chwili opowiadali sobie wszystkie drogi i ścieżki, któremi wkradało się zrazu, a potem wtargnęło w nich to kochanie wzajemne i nakoniec wyznane wzajemnie tam, na mchach siwych, wśród szemrzących paproci, pod konarami wysokich drzew.

Opowiadali też sobie i dawne dzieje kochania tego: to, co czuł on, i to, co czuła ona przed odjazdem jego w strony dalekie. Wyznanie otrzymane i dotknięcie ustami pierwszej w jej życiu pieszczoty miłosnej wzbudziło w Janinie ufność nieskończoną do człowieka, w którego miłości ujrzała równe jej w mierze uszanowanie i

uwielbienie. Bez wahania więc, owszem, z rozkoszą wyznawała, że pomimo rozłączenia i pomimo jego milczenia, nie zapomniała o nim nigdy; że nikt nigdy serca jej posiąść nie mógł, bo pomiędzy nią i ludźmi, którzy do niej zbliżać się pragnęli, stawał zawsze jego obraz. Ilekroć w samotnych dumaniach, zdarzających się wśród godzin pracy, z tęsknotą roiła o tem, o czem każdy człowiek samotny roić musi: więc o tej miłości, która jest przyjaźnią, i o tej przyjaźni, która jest miłością, o wspólnej podróży we dwoje po różnych dziedzinach losu, wiedzy, dobra i piękna, o możności złożenia głowy często zmęczonej na kochającem ramieniu, o możności obdarzania kogoś drogiego klejnotami tych uczuć, które odkupują wszystkie smutki i wszystkie troski życia, zawsze przed zasmuconemi jej oczyma stawał on, stracony, jak o tem myślała, na zawsze. Czas długi i myśl: na zawsze! sprawiły, że to nie było już bólem ani nieszczęściem każdego dnia, lecz było zawsze tkwiącą w niej kroplą żalu i przyczyną, dla której nie przyjęła dotąd od życia tego, co jest mu potrzebne na słodycz i siłę.

Mówiła o tem wszystkiem, bo z natury była otwartą, bo zmęczyło ją długie skrywanie tkwiącej w niej chmury i rany, bo czuła się w tej chwili prawie jedną z nim istotą, bo powstała w niej dla niego ufność bez granic.

Wprawdzie istniały jeszcze pomiędzy nimi rzeczy niedopowiedziane, lecz wkrótce i najpewniej dopowiedzą je drogie jego usta. Wprawdzie spoczywało na barkach jego brzemię jakiegoś nieszczęścia, o którego naturze nic jeszcze nie wiedziała, lecz dowie się niezawodnie i wkrótce. A naówczas, jeżeli to błąd, przebaczy i naprawić dopomoże, jeżeli bieda natury materyalnej, stanie z nią oko

w oko ze swoją pracą i ze swoją poniewierką dla błyszczących zbytków życia; jeżeli to niebezpieczeństwo, jedno z tych, których teraz na świecie tak wiele, pójdzie w ogień, w wodę, w śniegi wieczne, w bezludzia pełne orłów, z nim, z orłem swoim!

Przez warstwę nabytej wiedzy męskiej, przez warstwę pracy męskiej, przez warstwę doświadczeń i spostrzeżeń zgromadzonych wzrokiem, który męska wiedza i praca wyostrzyła, przedzierał się ze spodów jej natury głos kobiecy, z rozkoszą bez granic wołający: kocham i ufam!

Więc nic dziwnego, że delikatny owal jej twarzy jaśniał rumieńcem najpiękniejszej zorzy, że usta jej były różowe, a oczy rzucały blaski szafirowych gwiazd. Więc nic dziwnego, że Czesław również, w widoku tej metamorfozy, której był sprawcą, w dźwiękach tej pieśni, której był motywem, w dosycie serca, które przez dni wiele stało w ogniu walki siły jego prawie przechodzącej, zapomniał o wszystkiem, co było i będzie, co stało się i stać mogło. Upoił go najmocniejszy z trunków życia. Z upojeniem na nią patrzał, z upojeniem jej słuchał, mówiąc, upajał się słowami własnemi. A jeżeli kiedy, na mgnienie oka, przemknęła mu przez głowę myśl, że takich dni jeszcze trochę, a potem... to razem z tą myślą przesuwał się mu przed oczyma przedmiot, pobłyskujący stalą... Jest brama do wyjścia z gmachu udręczeń niepodobnych do zniesienia i w ręku jego jest klucz do tej bramy... Lecz dopóki nie zatrzasną się wrzeciądze... Powracał do niej oczyma i natychmiast stawały się one znowu pełnemi bezpamiętnego szczęścia.

C a r p e d i e m! Spełniał to zalecenie własnej swej

rozpaczy, przebranej w szaty weselenia się bezpamiętnego; chwytał dzień.

Niewiedzieć czemu, gdy wszyscy domowi na ganek wyszli, Czesław rzucił się bratu na szyję, tak jak to czynił za czasów dzieciństwa i najpierwszej młodości ich obydwóch. Potem z wesołą swobodą, która w chwilach dobrych była jedną z ponęt męskiej urody jego, po wiele razy ucałował obie ręce bratowej i chciał może uścisnąć, albo i ucałować starą Dębsię, ale niosła ona półmisek z wieczerzą, więc z większą jeszcze niż zwykle majestatycznością postawy i poruszeń usunęła go od siebie. Wtedy rozkrzyżował ramiona i do ziemi, do nieba, do lasu, do ludzi zawołał:

— Jak mi tu z wami dobrze! Jak ja was wszystkich kocham, ogromnie kocham!

Janina z cichym uśmiechem na ustach zbliżyła się do siostry, objęła ją ramieniem i poprowadziła na brzeg ganku.

— Popatrz, jak pięknie słońce za las zachodzi!

Patrzały przez chwilę na tarczę słoneczną, wyraźnie obrysowaną wśród bladego błękitu, nad wierzchołkami lasu, zapalającymi się u jej ognistego rębu. Potem, obróciły ku sobie twarze i, uśmiechając się, popatrzyły sobie w oczy, które zaszły łzami. Ale były to krótkotrwałe łzy radości.

Usiedli wszyscy dokoła stołu, weseli i mowni. Janina wbiegła do wnętrza domu i po kilku minutach wróciła, mówiąc, że matusia czuje się bardzo dobrze, kilka godzin przesiedziała dziś na słońcu, pochwaliła ją za długą przechadzkę i dobre wyglądanie, pije teraz herbatę i prosi, aby pan Czesław po herbacie ją odwiedził. Przy

VIII.

Wszyscy obrócili twarze w stronę, z której nadbiegały coraz bliższe dźwięki pocztowego dzwonka, i Janina również w tę stronę patrzała, lecz gdy spojrzenie jej upadło na Czesława, odmalowały się w niem natychmiast zdumienie i przestrach.

Kiedy nadjeżdżający powóz stał się widzialnym i można było dostrzedz jego wnętrze, Czesław, ruchem człowieka, spostrzegającego widmo przeraźliwe, sztywnym ruchem podniósł się z siedzenia i oczyma osłupiałemi przez chwilę patrzał. Potem, jak przed widmem przeraźliwym od stóp do głowy zesztywniały, a na twarzy biały jak ściana, począł cofać się ku drzwiom, do wnętrza domu prowadzącym, i we wnętrzu domu zniknął. Janina usłyszała jeszcze szybkie kroki jego, głośne otworzenie się drzwi pokoju, w którym mieszkał, i nic więcej... Samej siebie nawet zapytać, co to wszystko znaczyć mogło, nie miała czasu, bo przed gankiem domu stanął powóz czterokonny, trochą pakunków podróżnych obarczony. Pakunki te ze skóry drogocennej i stalą pobłyskujące miały pozór wytwornych cacek.

Z powozu, z ruchami wspaniałymi i ciężkimi, wysiadła kobieta młoda, dość wysoka, w ubraniu bogatem i jaskrawem. Jedwab, aksamit, błyszczące dżety, dwa różne kolory, obfita biżuterya u pasa, rąk i szyi. Wśród strusich piór, okrywających kapelusz, bogactwem swem i pięknością uderzały włosy koloru ognistego, a w twarzy nieco płaskiej, o rysach pospolitych, lecz cerze bardzo świeżej, płonęły ciemne, ogniste oczy i krwią purpurową czerwieniły się pełne, wypukłe wargi. Kibić miała zepsutą przez zawczesną otyłość i ruchy powolne, nie pozbawione jednak pewnego ociężałego wdzięku, a od głowy, w tył odrzuconej, wyniosłe. Powoli, ze zmieszanym nieco uśmiechem na czerwonych ustach, wstępować zaczęła na schody ganku. Jerzy postąpił na jej spotkanie i powitał ją ukłonem grzecznym, ale w którym mieściło się milczące zapytanie. Ona na ukłon odpowiedziała krótkim rzutem w dół głowy i na zapytanie odpowiedziała zapytaniem, wymówionem w języku obcym. Zapytała o Czesława i czy on znajduje się w tym domu?

Jerzy, obejrzawszy się po ganku, odpowiedział, że brat jego odszedł na chwilę zapewne, zaraz powróci i skoro ona ma do niego interes...

Miał już zarysować ramieniem gest zapraszający, gdy ona z nagłym i wesołym śmiechem mowę mu przerwała:

— Więc bratem Czesława jesteście! Bardzo rada z poznania... dawno już chciałam poznać... a mój interes do niego... Cha, cha, cha, cha!

Śmiech jej był dźwięczny, głośny, bardzo swobodny.

— Cha, cha, cha, cha! Jestem żoną waszego brata!

Nagle, do gamy perłowej i swawolnej podobny, urwał się śmiech młodej kobiety, bo spostrzedz musiała, że Jerzy zbladł bardzo i że w oczach jego odmalowało się niedowierzanie.

— Nie wierzycie? Widzę, że nie wierzycie! No, nic dziwnego. Pierwszy raz w życiu kogoś widząc, można Bóg wie co o nim pomyśleć i najpoczciwszego Bóg wie za kogo wziąć... Ale prawdziwie... jestem waszą belle soeur i dziwię się, że Czesław nie opowiedział wam, jak wyglądam... A może on tu kawalera udawał, aby weselej bawić się... Po was mężczyznach wszystkiego spodziewać się można. Cha, cha, cha!

I znowu wesołość jej dobroduszna i swobodna zgasła, jak zdmuchnięta świeca. Spostrzegła, że stoi przed progiem tego domu, że dwie młode kobiety stoją na ganku w postawach zesztywniałych i z twarzami jak biały marmur, że w oczach Jerzego maluje się prawie obłęd nieprzytomny. Więc głowę ciężką od piór strusich i włosów ognistych z dumą podniosła, marszcząc bujną brew nad pałającemi oczyma.

— Ja dygnitarska córka! Mogłam Bóg wie ile razy i Bóg wie za kogo wyjść, ale za brata waszego wyszłam dlatego, że się w nim zakochałam. I on był zakochany we mnie... ale potem do was zatęsknił.. źle mu się ze mną zrobiło... to taki charakter niespokojny... już dawno pomiędzy nami nie bardzo dobrze... On może ukrywał przed wami, że żonaty... Już mię to zastanawiało, że listy do mnie pod adresem brata mego przysyłał... Ale pomyślałam sobie: kaprys. Niech adresuje do kogo chce, byle pisał... Aż tu zaczyna coraz rzadziej pisać i... ot, miesiąc już, jak nie napisał ani słóweczka. Strach mię ogarnął... Może chory, może rozkochał się w innej... ach, gdybyście wiedzieli, co ja przez ten miesiąc wycierpiałam... Tele-

grafować nie śmiałam, bo on tego nie lubi, rozgniewałby się, a i bez tego niema już pomiędzy nami prawdziwego dobra... Więc pomyślałam sobie: pojadę! My teraz bliżej, niż byli wprzódy... droga łatwa... Pomyślałam sobie: jego zobaczę i krewnych jego poznam, może oni mię polubią, może i ja ich polubię, wesoło nam wszystkim będzie. Więc zostawiłam synka naszego przy swojej mamie i pojechałam... Synka mamy maleńkiego, trzy latka mu się kończy...

Nagle umilkła. Przerwał jej głos drżący, ale donośny, który w głębi ganku, gdy mówiła o synku, powoli mówić zaczął:

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha świętego, Amen.

Była to Dębsia, która w głębi ganku, w zwykłej sobie majestatycznej postawie stojąc, jedną ręką przyciskała do piersi zdjęty ze stołu talerz, a drugą zakreślała krzyż na swej szerokiej piersi. Może z powodu brzmienia głosu przeżegnanie się to rozebrzmiało posępnie i trwożnie.

Płomienne oczy przybyłej zapłynęły łzami.

— Co to jest? ciszej, niż przedtem, mówić zaczęła.— Tu jest coś złego, ja to czuję! Jakiś tu jest strach. Wyglądacie wszyscy, jak umarli. Może z nim stało się co złego? A może to... Ach! prawda! Słyszałam, słyszałam, ale nie mieszałam się do tego nigdy... Co mię tam te wszystkie kłótnie obchodzą! Pokochałam i wyszłam za tego, kogo kochałam... gotowa byłam i jego krewnych pokochać... Ale widzę, że mnie nie chcecie, i nie będę się wam narzucała. Ja, dygnitarska córka... narzucać się nikomu nie przywykłam... tylko z mężem pozwólcie mi się zobaczyć... Gdzie on jest? Zawołajcie tu jego... Zobaczę

go, pomówię z nim i pojadę... nawet bez gniewu... choć nie spodziewałam się być tak przyjętą... ja, dygnitarska córka i prawa żona waszego brata...

Jerzy obrócił się do stojących na ganku kobiet i zawołał:

— Poszukajcie Czesława!

Głos miał ochrywły i drżącą dłonią ocierał pot, zraszający mu czoło.

W tej samej chwili Janina poczęła iść ku przybyłej, powoli, z postawą sztywną i twarzą zaklętą w biały marmur, w którym stwardniały jej nieruchome rysy. Jednak ruchem łagodnym ujęła rękę przybyłej i położyła ją na swem ramieniu.

— Pani odpocząć potrzebuje... Zaprowadzę panią do pokoju, w którym pani odpocznie... i zaczeka na powrót...

Cichy szept jej ustał; prowadziła przybyłą przez ganek do pokoju siostry, którą spotkała szukającą zginionego i nie mogącą znaleźć go nigdzie.

— Zaczekaj, Krysiu! Posłuchaj!

Krystyna stanęła i z twarzą zalaną łzami słuchała.

— Zaprowadź ją do swego pokoju... i bądź dla niej uprzejmą... bądź dla niej dobrą... pod dachem twoim jest... w położeniu... bolesnem...

Krystyna z za łez popatrzała na siostrę, zrozumiała i usłuchała.

A Janina wyszła z domu przez drzwi, prowadzące na gospodarskie obejście, i po kilku minutach była już za wrotami, w tej części lasu, w której znajdowała się łąka, nazwana przez nią samą królestwem szczęścia.

Szła dość długo pomiędzy rzadko rosnącemi sosnami i, nie trzymając się żadnej drogi, ani ścieżki, weszła wkrót-

ce w las gęsty, stawiający przed nią zapory iglaste i liściaste, których nie omijała, lecz przez które przedzierała się, idąc przed siebie ciągle, krokiem prędkim i równym, czasem tylko nieco chwiejnym.

Kibić jej była sztywna i rysy posiadały wciąż twardość i nieruchomość wyrzeźbionego marmuru. Szła i szła, gnana instynktem tym samym, który zwierzę ranione pcha do biegu w pola puste, w lasy gęste, dokądkolwiek, byle uciec od śmiertelnego bólu.

Po sposobie, w jaki szła, znać było, że nie wie wcale o tem, dokąd idzie, ani nawet o tem, że idzie. Jeżeli były w głowie jej myśli jakiekolwiek, to chyba w postaci mgły skłębionej, zasłaniającej światło rozumu. Była cała jasno uświadomionem i przenikającem do szpiku kości uczuciem nieszczęścia ostatecznego. Nieszczęście, jak wielki kamień, spadło na nią wtedy, gdy nurzała się w kąpieli szczęścia, i zdruzgotawszy w niej wszystko, wznieciło samo jedno płomię bólu tak szumiące, że zagłuszało wszelką przytomną myśl.

Krwawiły ją kolczaste zapory, które krokom jej stawił las. Pośliznęła się na świeżo spadłem igliwiu i w dłoni ścisnęła gałąź jałowcu z taką siłą, że igły jego zanurzyły się w jej dłoni i tam pozostały. Innym razem gałąź sosnowa z taką mocą uderzyła ją w czoło, że pozostawiła na niem czerwoną szramę. Gdy weszła na grunta nizkie, czepiać się poczęły jej sukni mokre wikliny, znacząc ją plamami wilgoci i oderwanych od łodyg liści uschłych.

Kilka razy, pochwycona zapewne fizycznym bólem, rękę podnosiła do piersi lub do gardła; oddech jej stawał



Janina biedz poczęła po zrudziałych trawach.

się coraz krótszym, cięższym, aż, dławiąc się, gestem porywczym rozerwała górne zapięcie stanika i, obnażywszy szyję, szła dalej.

Sztywna jej postać w ciemnej sukni, operlonej rosą i uschłymi liśćmi, i twarz biała z suchemi oczyma pod czołem, przerżniętem czerwoną szramą, przesuwała się na jesiennem tle lasu coraz dalej i dalej, aż z gęstwin wynurzyła się na przestrzeń swobodną i obszerną.

Stanęła na skraju łąki leśnej, otoczonej kołem olbrzymów, ubranych teraz w złoto, bronz i purpurę.

Stanęła w gaiku brzozowym, filigranowo wyrzeźbionym ze złota, niedaleko dwóch drzew, w odosobnieniu do siebie przytulonych. Osika dostała od jesieni suknię różową i drżące jej przezrocza zarzucała na wiecznie silne i ciemne konary świerku.

Stanęła i z wyciągniętą naprzód szyją wpatrzyła się w postać, stojącą w cieniu konarów świerkowych.

Był to człowiek, którego kształty rosłe i zgrabne mętnie rysowały się w zasłonach ciemnych gałęzi.

Czy poznała go? Czy on zobaczył ją, wynurzającą się z lasu i stającą wśród złotych filigranów brzóz, w sukni operlonej uschłymi liśćmi, z czerwoną szramą na marmurowem czole? Nikt nigdy dowiedzieć się o tem nie miał.

Pod konarami świerku błysnął stalowo jakiś przedmiot i rozległ się krótki huk wystrzału. Trochę sinego dymu wzbiło się ku górze i zawisło, jak mały obłok, w powietrzu nieruchomem.

Bez krzyku, bez słowa, cicho i sztywnie Janina biedz poczęła po zrudziałych trawach w kierunku sinego obłocz-

ka, lecz wkrótce zachwiała się, obie ręce podniosła ku gardłu i upadła pod stopy osiki, która trochę swych liści różowych rzuciła jej na twarz, jak zasłonę przezroczystą...

. . . .
...Niech się skarży zielona wierzbina,
Niechaj płacze tam w polu kalina
I wiatr niech zapłacze!
Niech się skarżą ptaki-tułacze...

. . . .
Niech się skarżą spracowane barki,
Niechaj płaczą tam w polu fujarki,
I pieśń niech zapłacze!

KONIEC.

LIŚĆ USCHŁY.

I.

Tak mi to drobne zdarzenie utkwiło w pamięci, że aż muszę je państwu opowiedzieć. Bardzo drobne, ale, że było w niem coś dla mnie niezrozumiałego, więc je zapamiętałem. Zresztą, możeście państwo zauważyli, że pamięć ludzka to takie dziwne sitko, przez którego oka ziarna duże wypadają niekiedy, a drobne nie wypadają. Jest w nich pewno jakaś waga, która je przytrzymuje na dnie, ale jaka? Nie wiem, to nie moja rzecz: nie wdawałem się nigdy w żadne filozofie, będąc człowiekiem trzeźwym, praktycznym, ze wszystkich słów pacierza, niegdyś za panią matką powtarzanego, najlepiej pamiętającym słowa: „chleba naszego powszedniego daj nam" i t. d.

Dlatego właśnie, że bardzo dbałem o chleb, wcale nie powszedni, lecz posmarowany masłem śmietankowem albo pasztetem strassburskim, dlatego, że wszelkich ideologów uważałem za półgłówków lub komedyantów, uczuwałem coś nakształt głębokiego szacunku dla Feliksa Garskiego, którego natura jakby umyślnie w tym celu stworzyła, aby był żyjącem przeciwstawieniem i protestem dla wszelkiej ideologii.

Poznałem się z nim w Wiedniu, dokąd rzucił mię nietyle los, ile własna moja zdolność dawania sobie rady na świecie. Po rozpoczęciu pracy samodzielnej, zarobkowej, próbowałem osiąść w kilku z kolei kątach, lecz w każdym było mi i ciasno i ciemno i zawiele pajęczyny. Ma się rozumieć, że żaden na świecie kąt, zwłaszcza w domu zrujnowanym, nie może obyć się bez pajęczyn, które oblepiają twarze i lezą do ust. Pfe! skosztowawszy pajęczego jadu, zachłysnąwszy się stęchłem powietrzem, nasłuchawszy się—ciszy, drapnąłem w świat i jakie tam bogi nosiły mię po jego gościńcach, to nosiły: dość, że przyniosły do tej stolicy, za co im wdzięczen jestem, choć nie bardzo, bo powiodło mi się tu, ale niezupełnie.

Z Garskim spotkaliśmy się po raz pierwszy w salonie, raczej w salonach, pewnej znakomitej, wpływowej osobistości i odrazu powiedziałem sobie o nim: „o! sprytna bestya!" Jak to on potrafił przystować się wybornie do środowiska, bądź co bądź obcego, bo tak, jak i ja, pochodził z Litwy, z takiego sobie wiejskiego, szlacheckiego dworku, a tu stał się światowcem, więcej, bo dworakiem, więcej jeszcze, bo manekinem, którego mówienie, milczenie, zdanie, ukłony, miny zależały od pokręcenia się sprężyny. Traf! zakręciła się sprężyna; manekin we fraku, białym krawacie i w binoklach na nosie kłania się tak niziutko, że aż końcami palców w białych rękawiczkach prawie posadzki dotyka. Sprężyna znowu: traf! kłania się wyniośle, zadziera nosa i lekceważąco idzie dalej. Znowu: traf! potwierdza z zapałem: tak! tak! o, tak! Jeszcze raz traf! przeczy z oburzeniem: nie, nie, o! nie! Poloniusz we własnej osobie, tylko zręczniej-

szy. Żadnych przekonań, upodobań, sympatyi własnych. Jak wasza ekscelencya, tak i ja! A ekscelencya na prawo, na lewo, przed nim, za nim, i stąd potrzeba krygowania się na wszystkie strony. Zdaje się: trudno! Staniesz przodem do jednej, to plecami zwrócisz się do drugiej; przysuniesz jednej stołeczek pod stópki, to druga się o niego potknąć może. On jednak tę sztukę posiadał znakomicie i, jak Eskimos ślizga się na lodzie, między skałami, ślizgał się po posadzkach, między ekscelencyami tak, aby o żadną się nie rozbić.

Trzeba trafu, że powierzchowność wybornie odpowiadała sytuacyi. Bo od powierzchowności wiele zależy; niejeden wół duży i z tłustym karkiem chciałby może dokonywać krygów i z ruchami pełnymi gracyi okrążać skały, albo nawet wsiadać na nie, jak na konie, ale patrzących pobudzałoby to do śmiechu, a w pewnych sferach śmieszność to śmierć.

Garski... ale możeście go państwo gdziekolwiek widzieli, bo przecież to teraz człowiek na świeczniku, wielka pozycya, tuz, personat! Nie? nie widzieliście go nigdy? Ano, niedawno jeszcze przebywacie w Wiedniu; więc opiszę, jak potrafię.

Garski tedy, w porze zapoznania się naszego, miał lat około 40-tu, wzrost średni, ruchy sprężyste, więcej żywe niż powolne, lecz zawsze doskonale wytworne i zgrabne.

Wnosząc z twarzy, musiał być bardzo chudy, ale temu brakowi mistrze wiedeńskiego krawiectwa zaradzili tak skutecznie, że w salonie i na ulicy posiadał kształty w sam raz takie, aby wydawać się kształtnym. Twarz jednak była otwarcie chuda z rysami dość pra-

widłowymi, o co mniejsza, bo motywem głównym, na daleki plan rysy usuwającym, był w niej wyraz. Twarz ta musiała być rozpaczą dla fotografa, skarbnicą dla psychologa. Chuda, sucha, okrągła, odbijała od czarnych, kędzierzawych włosów żółtawą barwą skóry i dwiema plamami rumieńców na wklęsłych policzkach. Ponieważ policzki były wklęsłe, więc rumieńce miały pozór trochę niezdrowy, czoło też zaczynało już przypominać zmiętą kartę papieru, tyle je przerzynało włoskowato-cieniutkich zmarszczek; ale dojrzeć to było można zblizka, zdalcka zaś uderzała jedna tylko gruba fałda pomiędzy brwiami, rzucająca na czoło i na twarz całą wyraz myślicielstwa. Dość było spojrzeć na tę fałdę, aby pomimo woli pomyśleć: „Rozumny człowiek". Dość też było czasem popatrzeć na jego oczy z czarnemi jak węgiel źrenicami, bystre, ruchliwe, przenikliwe, niespokojne, aby powiedzieć sobie: „To chciwiec!" A innym razem te same oczy, uważne, posłuszne, czyjeś słowa i zdania chłonące jak balsamy, podszeptywały nazwę: „Pochlebca"; albo słodkie, zachwycone, rozkochane kazały myśleć: „To liryk!" A usta cienkie, delikatne, pod czarnym wąsikiem może ufarbowane; bo zawsze jak koral czerwone, sposobem układania się warg i uśmiechami dyktowały wyrazy najrozmaitsze: filut, służalec, tkliwy kochanek, rozpustny łotrzyk, szyderski sceptyk, poważny statysta; dwu tylko wyrazów nigdy podyktować nie mogły: głupoty i szczerości.

Ogółem biorąc, była to powierzchowność człowieka nerwowego i sprytnego, interesująca bogactwem przebijających się z poza niej namiętności i energii; powierzchowność zawziętego łowcy, który bez spoczynku i po

różnych drogach ścigał cel upatrzony, bo od doścignięcia go zależała możność życia w jedynej formie dla niego zrozumiałej, życia pojętego, jak wyrażał się sam Garski, w sposób modernistyczny.

Modernistą był on w każdym calu. Tylko najświeższe prądy naukowe i polityczne, najświeższe artystyczne i literackie szkoły, najświeższe mody w zwyczajach, ubraniu i t. d. Co było dobre lub piękne, choćby tylko przed rokiem, ale już z mody wyszło — to rupiecie do umieszczenia w lamusie przodków! Posuwał się w modernizmie tak daleko, że, gdy zapanowała moda noszenia męskich płaszczów krótkich i z czterema pelerynkami, przyodział się w płaszcz taki i kiedy zaczęto na ulicach z wielkim klekotem okręcać na palcach c r i-c r i, nosił na palcu c r i-c r i i okręcał je z wielkim klekotem.

Wszystko, co modne, błyszczące, szykowne, co odznaczało, to jest wydzielało z tłumu, było dla niego prawie świętem, nadewszystko jednak, jak mi się zdaje, potrzebnem. Miał przecież w tem pewien takt i umiarkowanie, tak, że elegancyę, którą tchnęła cała jego osoba, poczytywano za wzorową i przyjemną w kilku dość odrębnych sferach, bo wśród pań wielkiego świata i wśród pań półświata, wśród dziennikarzy, giełdziarzy, statystów i — gogów.

Czem się trudnił? Najważniejszym z jego zawodów było dziennikarstwo. Natura stworzyła go poliglotą. Pisał po niemiecku tak, jakby się był urodził Niemcem; posyłał też często artykuły treści politycznej i ekonomicznej do Paryża i Londynu. Ta wielojęzyczność oddawała mu znaczne przysługi, bo czyniła go rodzajem telefonu, przez który można było rozmawiać z Europą,

otwierała przed nim progi tych, którzy takiego telefonu potrzebowali, często wysokie i nieprzystępne. Pióro miał cięte, gorzkie, maczane daleko mniej w wiedzy, niż w dowcipie, zaprawionym żółcią, a strzegące się sentymentalizmu, jak pewnej zguby. Kiedym po raz pierwszy spotkał go w Wiedniu, jeden ze wspólnych znajomych naszych oznajmił mi poufnie, że Garski reflektuje na stanowisko redaktora jednej z największych i najbardziej wpływowych gazet. Był to Galicyanin, który przybył do Wiednia, także w celu reflektowania na różne dobre rzeczy... więc, mówiąc o Garskim, ironicznie wykrzywiał usta. Daremna ironia! Wkrótce Garski doścignął, czego pragnął, a że ja również byłem jednym z zawzięcie ścigających i na różne zdobycze reflektujących, więc zachodziłem często do redakcyi wielkiej gazety, na której czele stanął. Przepych, bogactwo, tłum, tłok, blask, prawdziwie modernistyczna świątynia! Cóż dziwnego! Przebywa w niej bogini współczesnego świata, którą jest polityka, i kuźnię swą posiada inny jeszcze modernistyczny bożek, imieniem: „pieniądz". Na giełdach, w przedsiębiorstwach, w bankach, w handlu i t. d. pieniądz napływa, odpływa, okręca się, mnoży i niknie, stosownie do tego, jak tu, w tej świątyni, kapłani jej pokręcają, odkręcają, naciskają, i zwalniają sprężyny rozmaite. Cienki, giętki, w końcu zaróżowiony palec Garskiego nieustannie i czujnie przybliżony był do tych sprężyn i to właśnie nierzadko mię do niego sprowadzać musiało. Raz, pamiętam, jak w redaktorskim gabinecie swoim, pełnym pluszów, bronzów i papierów, przy wielkiem biurku na drogocennym fotelu siedząc, z postawą Radamantesa, wydającego sąd nad duszą do piekieł przybyłą, na-

uczał młodzieńca jakiegoś, mającego wyciągniętą twarz i na kwintę spuszczony nos ideologa. Bo zauważyć należy, że w czasach naszych ideolodzy stale mają nosy spuszczone na kwintę i po tym rysie niemylnie ich wśród tłumu rozpoznawać można. Garski zaś miał binokle na oczach, fałdę myślicielską pomiędzy brwiami i, mówiąc, po książęcemu trochę dzielił sylaby.

— Co nam pan w artykule swoim prawi o etyce wszechludzkiej, o patrzeniu na rzeczy z punktów wysokich, o prawach historycznych, wymiarach sprawiedliwości etc. etc. To do nas nie należy, kochany panie, nie należy! Na to jest dekalog, są księża, poeci, no... i pensyonarki! My zaś, ludzie pozytywni, gruntowni, nie znamy i znać nie chcemy nic, oprócz trzech rzeczy, któremi są: fakt, cyfra i interes. Niech pan sobie za-pa-mięta! Fakt, cyfra, interes. W tem mieści się polityka, finanse, przemysł, postęp — słowem: cały świat współczesny, cały mo-der-nizm. Resztę, kochany panie, wszystką resztę z tych trzech atutów, odsyłamy do poematów, do romansów, do konfesyonałów i do... do re-dak-cyj-ne-go kosza...

I niepodobna wyobrazić sobie bardziej wyniosłego i zarazem eleganckiego gestu nad ten, z jakim Garski, wskazując przy ostatnich słowach kosz na papiery, zaokrąglił ramię tuż przed pobladłym nosem ideologa.

Innym razem słyszałem, jak mówił:

— Siła, panie kochany, siła oręża, czy rozumu, czy bogactwa lub sprytu, ale zawsze i tylko siła! To Kolchida, Sezam i katechizm naszego dzisiejszego świata. Reszta — do lamusu przodków!

Więc fakt, cyfra, interes i siła, a potem jeszcze tylko jedna rzecz: Użycie.

Umiał używać! jaki to był miły chłopak i zarazem jakie to było pyszne zwierzę na rozmaitych kolacyach, śniadankach i innych zebraniach, śród których wyłącznie królowały: Lied, Weib und Wein, a nawet tylko Weib i Wein, bo Minezengerzy ze swojem Lied dawno już zamieszkali w lamusie przodków! Ale przy Weib i Wein Garski nabierał werwy i natchnienia, pozbywał się wszelakiej wyniosłości i sztywności, stawał się w całem znaczeniu bon enfant czy bon prince, miłym chłopcem bez żółci ani ironii. Opowiadał anegdoty, śmiał się, czasem nawet, pod wpływem szlacheckiego atawizmu, współbiesiadników obejmował i całował. Ale niechże mu w takich chwilach jaka kobieta lub jakie o nią współzawodnictwo silnie do głowy i zmysłów uderzy!

Chociaż dawno już przestałem widywać go w podobnych okazyach, mam jeszcze przed oczyma uśmiech tych warg czerwonych, którego nie powstydziłby się Heliogabal, rozciągnięty na fijołkach, i pierścienie tych czarnych włosów, podnoszące się jak rożki Pana, bożka natury, nad czołem, które całkowicie traciło myślicielską zmarszczkę i zapływało ciemnym rumieńcem, gdy oczy topiły się w płynnym miodzie.

Raz widziałem go w postaci, nie Fauna albo Satyra, lecz pantery. Było to na giełdzie, w czasie wielkiego targu o pewne papiery publiczne. Dość często widywałem Garskiego przy rozmaitych robotach pieniężnych, bo jako akcyonaryusz i urzędnik kilku banków, częstym był gościem giełdy, której ja stałem się prawie domownikiem. Zazwyczaj zachowywał przy tych robotach zimną krew i spokój, chociaż można było dostrzedz,

że wynikały one, nie z natury, lecz z pracowitych zwycięstw, odnoszonych nad naturą przez silną wolę. Wtedy jednak rozprawa giełdowa toczyła się z gwałtownością wyjątkową. Stronnicy dwóch potentatów finansowych stanęli z sobą do boju i niczem wobec niego staro-rzymskie cyrkowe walki błękitnych i zielonych! Szło o podtrzymanie albo upadek olbrzymiego przedsiębiorstwa, którego papiery jedni usiłowali podrzucić do wysokości nieba, inni zmieszać z prochem ziemnym. Hausse! baisse!

Garski był po stronie hausse'y. Stał na czele stronnictwa; od zwycięstwa lub klęski zależało mu bardzo wiele pod względem pieniężnym i wielu innymi względami. Więc stopniowo ze skóry światowca, statysty, goga wydobywał się dzikus, a z dzikusa łeb i pazury ukazywała pantera. Im dłużej trwała i w sposób niebezpieczny na obie strony kołysała się walka, tem widoczniej wzdymały się w nim te spodnie warstwy natury ludzkiej, które świadomie lub nieświadomie nosimy w sobie wszyscy i w których, jak niedźwiedź podczas mrozów, śpi do czasu zwierzę człowiecze, la bête humaine.

Na plecach i na ramionach Garskiego widać było pod cienkiem suknem drganie muskułów, zrazu rzadkie, potem coraz częstsze i gwałtowniejsze; we wklęsłościach policzków rumieńce nabrały sino-gangrenowatej barwy, kędzierzawe włosy mnóstwem czarnych rożków powstały nad głową; oczy co moment, to osłaniane przez drżącą rękę binoklami, to od nich uwalniane, ciskały snopami iskier, a wargi, jak zwykle czerwone, rozwierając się szeroko dla wydawania giełdowych haseł, świe-

biety, że, słowem, nasyciwszy pragnienie, zostaliśmy tak, jakeśmy pierwej byli, pragnącymi. Nieprawdaż? Czy pan tego nie doświadczał?

— Jednak... — zacząłem protestować.

— Jednak — podchwycił — zawsze pożądać będziemy pięknych kobiet i zawsze prowadzić będziemy wściekłe akcye dla osiągnięcia pożądanych celów. Ma pan racyę, ale i ja mam ją także, bo po zwycięskiem ukończeniu akcyi zawsze też będziemy przypominali sobie króla Salomona, nie tego, który miał siedemset żon, ale tego, który, mając siedemset żon, pisał Eklezyastę...

Tu, jakby pożałował, że tak wiele powiedział, albo znudził się mówieniem, szybkim ruchem podniósł i opuścił nad głową kapelusz.

— Żegnam pana — rzekł krótko, a ponieważ kilka osób ukazało się na korytarzu, więc z podniesioną głową zwykłym sobie elastycznym krokiem odszedł. Ale szybkiemu ruchowi ręki, podnoszącej i opuszczającej kapelusz, tudzież krótkiemu słowu pożegnania towarzyszyło pewne wygięcie w bok szyi, pewne wydłużenie się i postarzenie twarzy, pewien rzut oka skośny i szybki, które nic innego oznaczać nie mogły, jak apatyczne znużenie, głuchą złość i nadewszystko zimne, ckliwe, nudne niezadowolenie.

W salonach, do których wspólnieśmy uczęszczali, znajdowała się zawsze spora ilość ekscelencyi obu płci. Ma się rozumieć, żony zupełnie, a w pewnym stopniu i córki ekscelencyi męskich, były żeńskiemi ekscelencyami, a grupa ta, jak wszystkie grupy ludzkie, zawierała w sobie jednostki piękne i szpetne, miłe i niemiłe. Na jedną z tych żeńskich ekscelencyi wskazywać zaczęto,

jako na cel matrymonialnych starań Garskiego. Gdyby Ossę zwalić na Pelion, jeszczeby ich wysokość nie dorównała wysokości, na której znajdował się jej ojciec, tak, że na pozór można było w tym wypadku posądzić Garskiego o ideologię. Ale wiedział on dobrze, co czynił. Ona była trzydziestoletnią ekscelencyą, grubą w pasie i zanadto czerwoną na twarzy; on był „człowiekiem przyszłości". Sprawdził potem tę przepowiednię, ale dla łatwiejszego jej sprawdzenia małżeństwo to przedstawiało środek pomocniczy co się zowie. To też widziałem, jak robił do niej swoje najpiękniejsze liryczne oczy, a słowa i zdania jej ojca chłonął oczyma, jak balsamy.

Stało się. Cała stolica wkrótce mówiła o zaręczynach Garskiego z córką bardzo wysokiej ekscelencyi. Podziwiano, zazdroszczono, winszowano. Ja także podziwiałem, zazdrościłem, winszowałem. Prawdę mówiąc, dyabli mię brali na myśl, że sam nigdy tak daleko, jak on, nie zajdę; gdzie tam! lecz z drugiej strony ceniłem wielce dość poufałe stosunki z człowiekiem, który, dziś będąc siłą, jutro najpewniej będzie potencyą.

Nie należy przesądzać poufałości tych stosunków; nie patrzyliśmy sobie duszą w duszę i żaden z nas nie wskoczyłby za drugiego w ogień, ani w wodę. Owszem, przypuszczam, że z łatwością moglibyśmy skoczyć sobie do oczu, gdyby przypadkiem znalazła się pomiędzy nami, nie przymierzając, kość do ogryzienia. Ale pochodziliśmy prawie z jednych okolic, Garski znał trochę moich krewnych, ja jego, a chociaż nie tęskniliśmy wcale ani do okolic, ani do krewnych, tworzyło to pomiędzy nami jakiś łącznik, dla nas samych nie bardzo zrozumiały. Przytem my tylko dwaj wiedzieliśmy nawzajem o swoich

pierwszych początkach, więc mnie jak mnie, bo do niczego tak bardzo osobliwego nie doszedłem, ale Garskiemu przyjemnie być musiało popisać się czasem przede mną. „Oto, co miałem, a co mam! Skąd wyszedłem, a gdzie zajdę!“ Nieraz spostrzegłem, że spotyka mię nie bez przyjemności, że więcej wypowiada się przede mną, niż przed innymi, a raz odkryłem, że, nieproszony, sam przez się i nic o tem nie mówiąc, oddał mi dość ważną przysługę. Kiedym mu za nią dziękował, skinął niedbale ręką.

— Co tam! Cóż dziwnego! Swój swemu...

I zaraz poprawił się ze śmiechem:

— Ręka rękę myje, kochany panie; rzuć za siebie, znajdziesz przed sobą. Czy ja wiem? Może mi pan kiedy przydasz się na co...

Tak, że zostałem w niepewności, czy okazał mi dobroć dlatego, że mię lubił, czy też był to werbunek klientów do tworzenia orszaku, oklaskiwania mów i kiereszowania wrogów patrona. Ale mało o to dbałem. Z przysługi, którą mi oddał, odniosłem znaczną korzyść. Reszta — do lamusu!

II.

Czy zwiedzaliście już państwo nasz piękny Prater w czasie świątecznych, popołudniowych przejażdżek? Nie? Czasu jeszcze nie było! Cóż powiem? Jest to baśń, widowisko, wywołane różdżką czarnoksiężnika, urzeczywistnienie marzeń Nababa i zarazem Dafnisa z sielanki. Nie jestem poetą; nie będę więc zdolny przedstawić dość barwnie i plastycznie tych dwóch nieskończonych szeregów kół, koni i ludzi, które przez długie godziny nieustannie dążą w dwie przeciwne strony po drodze nieścignionej okiem. Ile jest na świecie różnych form powozów, wszystkie tam są: ile jest na świecie różnych ras końskich, wszystkie tam są; ile jest na świecie różnych rodzajów piękności kobiecych, wszystkie tam są; ile jest na świecie różnych elegancyi spacerowych, wszystkie tam są. Jak w dwóch poważnie płynących rzekach, wzrok tonie w dwóch zwolna sunących szpalerach błyszczących politur, kolorowych mitr, herbów, monogramów, końskich grzyw i wygiętych karków, świecących liberyi, różnobarwnych pluszów i atłasów, różnoplemiennych, odświętnych. w odświętną oprawę ujętych twarzy ludzkich.

Wszystko to, obliczone na pieniądze, przedstawia miliony, a z estetycznego punktu jest mozaiką, ułożoną z mnóstwa wyszukanych szczegółów i rozciągniętą dwoma ruchomymi pasami na tle turkotu bardzo przytłumionego, bardzo monotonnego i połączonego tylko z przytłumionym i bardzo miarowym tętentem kopyt końskich.

Tyle dla Nababa.

A dla Dafnisa?

Nie jestem poetą; ale pamiętam, że dnia tego, za jedną ścianą lasu, która stoi z obu stron drogi, wznosił się wielki, miedziano-czerwony obłok i pożarowymi blaskami nalewał pękate tułowia chmur, sunących nad ścianą lasu przeciwległą. Pamiętam jeszcze, że tam, gdzie iglaste drzewa ustępowały przed liściastemi, rozpościerały się na krwistem tle szmaty czarnych koronek, utworzonych z bezlistnych gałęzi, i to jeszcze, że w stronie lasu, stojącej pod chmurami, panował lekki zmrok, pobielony mgiełkami, wałęsającemi się po ziemi, świeżo zroszonej deszczem.

Czy zauważyliście kiedy, kochani państwo, że zmartwienie czyni człowieka w sposób szczególny czułym na piękność natury? Kiedy jesteśmy zadowoleni i weseli, do dyabła odesłalibyśmy tego, ktoby nam chciał pokazywać obłoczek, mgiełkę, rzeczułkę, trawkę; wolimy wtedy w miłej kompanii ludzkiej używać życia i popisywać się przed mniej szczęśliwymi ze swojem szczęściem. Ale niechże fortuna, ludzie, choroba, śmierć lub cokolwiek innego wytnie nas tęgo po łbie, lub choćby po nosie, wtedy co prędzej do matki natury na rańtuch i w czułości! jakie piękne, samotne, ciche są twoje obłoczki, mgiełki, rzeczułki i trawki! Wychodzi to na sprawdzanie się przysłowia. kiedy trwoga, to do Boga!

Uwaga ta nie jest, broń Boże, wdawaniem się w filozofię, ale tylko wynikiem osobistego doświadczenia. W owym dniu świątecznego spaceru Wiedeńczyków, o którym mówię, czułem się w bardzo złym humorze. Aż dwa interesy naraz szkaradnie mi się powiodły; człowiek, na którego liczyłem, jak na Czarnego Zawiszę, zawiódł mię na punkcie najboleśniejszym, bo finansowym. Przytem, własnego, kawalerskiego zaprzęgu jeszcze mieć nie mogłem, wynajętym jeździć nie chciałem, więc dla ruchu, w nadziei rozrywki, poszedłem na Prater i szedłem czas jakiś brzegiem lasu, zmieszany na szerokim chodniku z tłumem pospólstwa, ciągnącego szarymi strumykami po obu stronach świetnych rzek, które toczyły się wielką drogą.

Wkrótce zaczęło mi tam być ciasno i smutno i nudno. Uczułem się upokorzonym, ubogim, skrzywdzonym sierotą i — buch! na łono natury.

Wszedłem do lasu.

O takiej porze nikogo nigdy niema w lesie, wszystko, co żyje, albo jeździ po drodze, albo, przechadzając się, gapi się na jeżdżących. Nawet drobne mieszczaństwo, z gromadami dzieci i koszami pełnymi jadła, wyłazi na łączki, mające otwarty widok na drogę. i gwarząc, jedząc, przygląda się wspaniałościom nababowym. Szedłem więc czas jakiś pomiędzy drzewami zupełnie sam jeden.

Jesień to była. Białawe mgiełki nizko zawisały nad mokrą zielenią mchu i trawy; gdzieniegdzie z drzew kapały liście żółte, czerwonawe i cicho kładły się u stóp

krzaków; gdzieniegdzie jaskrawy blask miedzianej zorzy krwistemi smugami malował pnie, albo z za ciemnych gałęzi błyskał promykiem filuternym. Zaszedłem już tak daleko, że prawie przestałem słyszeć głuchy turkot, toczący się po wielkiej drodze, gdy wśród drzew mignęła mi przed oczyma postać ludzka. Mylę się: nie człowieka właściwie spostrzegłem, lecz tylko krótki płaszcz męski, zaopatrzony w cztery pelerynki. Pomyślałem zrazu: „Jakaś melancholia opanowała jakiegoś goga i pchnęła go na łono natury!“ Ale po chwili zobaczyłem, że cztery pelerynki pochyliły się ku ziemi, jakby nizki pokłon oddawały drzewom, i dość długo w pozycyi tej pozostawały, poczem, wyprostowawszy się, poszły dalej, lecz po kilku minutach znowu nachyliły się, czegoś po ziemi szukając, i, znalazłszy, czy nie znalazłszy, znowu wyprostowywały się i szły zwolna.

Coś mię tknęło. Czy być może? Oczom swoim wierzyć nie chciałem. Garski tu! Niechże ja, skrzywdzone dziecko losu, pastwa niepowodzeń; ale on, wybraniec fortuny, posiadacz jednego z najpiękniejszych w stolicy zaprzęgów, narzeczony córki jednej z najwyższych ekscelencyi, zamiast zająć wśród high life'u miejsce przynależne, brylować, tryumfować, zazdrość obudzać, życia używać, przechadza się tak, jak i ja, pośród mgiełek, promyczków i z drzewek kapiących listków! I czegoś szuka! Czego on tu szukać może? Zdjęło mię oprócz ciekawości radosne przeczucie, że melancholia moja spotyka się z towarzyszką tam, gdzie jej obecność najmniej przypuszczaćby można. Słodko, jest, cierpiąc, widzieć spadającą do czary szczęśliwszego kropelkę cierpienia.

— Dzień dobry panu!